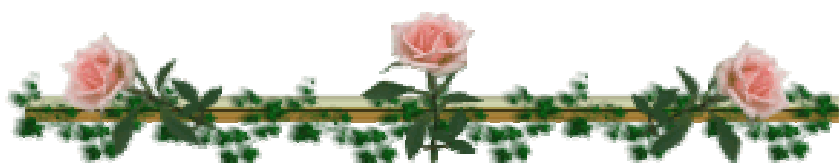




CAROL MARRINELLI



**OJCIEC DLA
EMILY**

Tytuł oryginału: *Needed: Fulltime Father*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Własne miejsce na parkingu!

Madison jak zawsze miała mnóstwo pracy, ale tym razem postanowiła wyrwać z napiętego grafiku parę chwil dla siebie. Zaciągnęła ręczny hamulec i siedząc za kierownicą swojego ekonomicznego, praktycznego i porażająco czystego samochodu, z satysfakcją kontemlowała informację umieszczoną na ścianie: REZERWACJA RM PP.

Zgoda, nie napisano wprost, że to miejsce jest zarezerwowane dla Madison Walsh, szefowej zespołu pielęgniarek z oddziału ratownictwa medycznego. I nieważne, że kobieta tak świetnie zorganizowana jak ona wcale nie potrzebuje takiej rezerwacji, bo i tak zawsze i wszędzie przychodzi przed czasem. Ważne, że miejsce jest tylko jej! Oto kolejny krok we właściwym kierunku. Jeszcze jeden osiągnięty cel.

Kiedy zamykała samochód, na parking wjechał Gerard Dalton. Pomachała mu na powitanie, a potem zaczekała, aż niemłody już profesor wysiądzie z auta.

- Zobaczysz, kiedyś uda mi się przyjechać tu przed tobą - zagroził jej z uśmiechem. - Oj, Madison. Przecież zaczynasz pracę dopiero za dwie godziny.

- Pan również! - przypomniała mu, gdy szli przez mroczny parking w stronę głównego wejścia.

- Cóż, widocznie oboje należymy do gatunku nieznośnych perfekcjonistów, którzy nie spoczną, dopóki sami wszystkiego nie sprawdzą. Dopiero potem puszcza maszynę w ruch. Ale najpierw - zauważył lekkim tonem - muszą napić się porządnej mocnej kawy. Oby tylko pracownicy kuchni nie zapomnieli o mleku...

- Urwał, widząc, że Madison podnosi do góry plastikową torbę.

- Na wszelki wypadek kupiłam kartonik.

- Oczywiście! Jakże by inaczej - stwierdził z lekką ironią. - Powiedz no mi, kochana, kto się zajmuje twoją uroczą córeczką, kiedy ty jesteś w pracy?

- Nie dzieje jej się żadna krzywda - uspokoiła go.

- Emily nocuje dziś u mojej koleżanki, dlatego przyjechałam wcześniej.

- Lubi chodzić do szkoły?

- Bardzo! - Madison rozpromieniła się na myśl o córce. - Dzień dobry, Vic!

- przywitała się ze strażnikiem, który otworzył im drzwi do pustego o tej porze szpitalnego holu.

- Dzień dobry państwu! - odparł strażnik, unosząc do góry kciuki. - To co, dziś nasz wielki dzień? Wszystko gotowe? - zagadnął.

- Mam nadzieję! - Madison wymownie wzniosła oczy do góry. - Jeśli o czymś zapomnieliśmy, szybko się o tym dowiemy.

- Jak moglibyśmy o czymś zapomnieć? - obruszył się profesor. - Przecież przygotowujemy się do tego dnia od miesiący.

- Wiem - westchnęła, zapalając światło w korytarzu.

Musiała przyznać, że ekipa sprzątająca wykonała pierwszorzędną robotę - po niedawnych pracach wykończeniowych nie było śladu. Z nowych krzeseł w poczekalni zniknęła ochronna folia, automaty do sprzedaży stanęły na swoich miejscach, w powietrzu unosił się zapach świeżości. Oddział ratownictwa, podobnie jak cały nowo wybudowany szpital, czekał na pierwszych pacjentów.

- Tłumaczę sobie, że wszystko jest dopięte na ostatni guzik, ale i tak budzę się w nocy i zaczynam wymyślać tysiąc rzeczy, które mogą się nie udać.

- Za bardzo się tym przejmujesz - stwierdził profesor, gdy weszli do pomieszczenia dla personelu. - Nie znam bardziej sumiennej i lepiej zorganizowanej osoby niż ty. Dlatego, kiedy zaproponowali mi, żebym pokierował ratownictwem, nalegałem, żeby powierzyli ci funkcję przełożonej. Budowa szpitala sama w sobie jest trudnym przedsięwzięciem, a już szpital bez dobrze funkcjonującego oddziału ratownictwa... - Urwał i zastygł zamyślony z czajnikiem w ręku. Madison zauważyła, że przygotował trzy kubki. Ten z pozoru błahy gest wiele mówił o profesorze Daltonie jako człowieku.

Parzył kawę również dla Vica - nocny stróż czy światowa sława medycyny, nie miało to dla niego znaczenia. Każdy, kto został przyjęty do zespołu, był traktowany na równych prawach.

- Wiesz, Madison, to jeden z najważniejszych dni w moim życiu - dodał zamyślony.

- Jestem pewna, profesorze, że w pańskim życiu nie brakowało doniosłych momentów - odparła.

Zabrzmiało to jak tanie pochlebstwo, ale zupełnie się tym nie przejęła. Gerard Dalton był bowiem jednym z najlepszych lekarzy i najzaciejszych ludzi, jakich знаła. Wzorowy mąż i ojciec, a przy tym wysoko ceniony fachowiec, któremu niejeden mógłby pozazdrościć wspaniałej kariery. Nic więc dziwnego, że poczuła się zaszczycona, że wybrał ją do zespołu, z którym miał stworzyć oddział ratownictwa medycznego w Heatherton Hospital.

- Rzeczywiście, pamiętam sporo zdarzeń, z których mogę być dumny - przyznał profesor - ale muszę powiedzieć, że ta sytuacja jest wyjątkowa. Sam nawet nie wiem, ile razy w ciągu lat pracy powtarzałem sobie: gdyby coś można było zorganizować inaczej, gdybyśmy mieli odpowiedni sprzęt, gdyby ktoś pomyślał o tym czy o tamtym... - Uśmiechnął się skruszony.

- Przepraszam, zdaje się, że zaczynam zrzędzić.

- Wcale nie! - zaprotestowała. - Powiem szczerze, iż nachodziły mnie podobne myśli. Ale pocieszam się, że przecież mamy nowiutki sprzęt, starannie dobraliśmy pracowników. Zobacz pan, profesorze, będzie wspaniale.

- Na tyle, na ile w szpitalu może być wspaniale.

- Uśmiechnęli się oboje. - Albo człowiek kocha to miejsce, albo nienawidzi. Jak myślisz, o której zaczną schodzić się pracownicy?

- Po szóstej. Wszyscy zaczynają pracę o siódmej, ale na pewno przyjdą wcześniej.

- A oddział oficjalnie startuje o dziewiątej? - dopytywał, sprawdzając coś w papierach.

Madison stłumiła uśmiech - tysiące razy omawiali wszystkie szczegóły, ale profesor nadal czuł się zagubiony. W kwestiach czysto medycznych miał isticie komputerową pamięć, za to w sprawach tak przyziemnych jak godziny, budżet czy zapamiętanie, gdzie położyło się okulary, zachowywał się jak roztargniony naukowiec.

- Tak. Od dziewiątej zaczynamy przyjmować pacjentów, którzy zgłoszą się sami, natomiast tych przywiezionych przez karetki będziemy przyjmowali po jedenastej. To pozwoli nam szybko wychwycić ewentualne niedociągnięcia.

- Doskonały pomysł - pochwalił z entuzjazmem.

- Pana własny, profesorze. - Tym razem Madison nie kryła uśmiechu.

- Faktycznie. Czyli wszystko już wiemy. Brakuje nam tylko pierwszego pacjenta.

- I nowego lekarza specjalisty - zauważyła z przekąsem. Natychmiast pożałowała swego tonu, gdyż profesor bezbłędnie wychwycił nutę niechęci w jej głosie.

- Zobaczysz, polubisz go. Guy Boyd to najlepszy lekarz, z jakim miałem przyjemność pracować. - Taka pochwała w ustach profesora znaczyła naprawdę wiele. Mimo to Madison nie potrafiła przełamać niechęci.

- Szkoda, że nie miałam okazji go poznać - stwierdziła dyplomatycznie. - Z tego, co pan mówi, doktor Boyd jest raczej... - Urwała, nie chciała bowiem

być niemiła ani wygłaszać niepochlebnych opinii o człowieku, którego nie widziała na oczy.

- Guy to taka niezależna natura. - Madison nie wątpiła, że profesor powiedział to w najlepszej wierze, jednak nie poprawiło to jej samopoczucia. Określenie „niezależna natura” przyprawiało ją o ból zębów. -Nigdzie dłużej nie zagrzeje miejsca.

- Chce pan powiedzieć, że doktor Boyd nie lubi brać na siebie odpowiedzialności? Oczywiście wstrzymam się z oceną, dopóki go nie poznam, ale... Panie profesorze, znamy się tak długo, że będę z panem szczerą. Nie jestem zachwycona perspektywą pracy z, jak to pan określił, „niezależną naturą”. Zdecydowanie wolę ludzi solidnych, fachowych i zaangażowanych w pracę.

- Wiem, Madison. Właśnie dlatego zdecydowałem, że będziemy razem dobierali personel. Co do Guya, to nie zgłosił się na rozmowę kwalifikacyjną, gdyż pracował w tym czasie za granicą. Wysłałem mu maila z informacją, że otwieramy nowy oddział. Nie wierzyłem własnemu, a właściwie naszemu szczęściu, gdy odpisał, że chce do nas dołączyć.

- Ale zdecydował się tylko na półroczny kontrakt, a nam przecież zależy na stworzeniu stałego zespołu, który będzie realizował określoną wizję.

- Wszystko to prawda - potaknął profesor. - I każdemu innemu lekarzowi od razu bym podziękował, ale takiej okazji jak pół roku pracy z Guyem Boydem nie mogłem przepuścić. Wiem, co mówię, więc zaufaj mi.

- Ależ ja panu ufam, profesorze! - Zmusiła się do uśmiechu, nie chciała bowiem psuć atmosfery tego wyjątkowego dnia. - Jestem przewrażliwiona. Na pewno okaże się, że doktor Boyd jest świetny.

- Bo jest, jak się go lepiej pozna. - Madison wolałaby, żeby tego nie powiedział. - Guy zupełnie nie interesuje się tym specyficznym rodzajem polityki uprawianej w szpitalach. To człowiek o niezależnych poglądach, nie uznaje politycznej poprawności - wyjaśnił, a widząc jej sceptyczną minę, westchnął z rezygnacją. - Pójdę zanieść kawę strażnikowi. A tak przy okazji, trzeba powiesić na drzwiach kartkę z informacją dla pacjentów, bo ktoś ją zdjął.

- Profesorze, kiedy mówił pan, że doktora Boyda nie interesuje szpitalna polityka... - Zawiesiła głos, gdyż profesor po prostu wyszedł i wdał się w rozmowę ze strażnikiem.

Postanowiła odnaleźć kartkę z informacją i umieścić ją z powrotem na drzwiach. Właśnie przyklejała ją do szyby, gdy nagle z mroku wychynął jakiś

cień. Nie spodziewała się zobaczyć tu nikogo o tak wczesnej porze, więc drgnęła przestraszona.

- Zamknięte! - powiedziała, poruszając bezgłośnie ustami, i wskazała kartkę. Przyszło jej do głowy, że osoba stojąca po drugiej stronie nie widzi jej, więc zastukała w szybę.

- Tędy! - wyrecytowała, pokazując recepcję. Wytężyła wzrok, by przyjrzeć się postaci, lecz o szarej porannej godzinie nie dało się wiele dojrzeć.

Mężczyzna, który próbował dostać się do środka, nie wyglądał na pacjenta. Sądząc po spokojnym zachowaniu, nie sprowadziła go tu nagła dolegliwość. Było to jedynie przypuszczenie, gdyż Madison widziała głównie jego biały T-shirt.

- Co się stało? - zainteresował się profesor i zapalił światło w holu.

- Ktoś chce do nas wejść. Albo niecierpliwy pacjent, albo nadgorliwy pracownik - odparła, oslepiona światłem.

- Poradzimy sobie i z jednym, i z drugim - rzekł wesoło i przysunąwszy twarz do szyby, osłonił dłońmi oczy. - Przecież to Guy! - zawołał po chwili rozradowany i szarpnął za klamkę. - Można to otworzyć?

- Tylko w asyście strażnika - odparła bez entuzjazmu.

Korciło ją, by zrobić to samo co profesor i dokładnie przyjrzeć się „politycznie niepoprawnemu” specjaliście. Chwilę zmagala się ze sobą, lecz w końcu ciekawość wzięła górę i Madison z nosem przyciśniętym do szyby zaczęła wpatrywać się w szarzejący mrok.

Odczekała, aż oczy przyzwyczajają się do ciemności, i wtedy go zobaczyła. Uśmiechał się do niej, zadowolony z siebie i zrelaksowany. Cofnęła się gwałtownie, gdyż instynktownie poczuła, że naruszył jej strefę prywatności. Doznanie było o tyle zaskakujące, że przecież dzieliła ich gruba tafla szkła. A jednak wyczuwała obecność tego mężczyzny tak wyraźnie, jakby stał tuż obok. Niespodziewanie przetoczyła się przez nią fala gorąca. Przerażona, odskoczyła od drzwi i syknęła, jakby reagując na użądlenie.

- Stało się coś? - zapytał profesor.

- Nie - odparła szybko. - Doktor Boyd musi wejść przez recepcję. - Nie odwracając się, ruszyła naprzód, pewna, że profesor idzie za nią. Dopiero w poczekalni zorientowała się, że jest sama. - Profesorze?

Spojrzała za siebie i uśmiech zamarł jej na ustach. Nawet nie spostrzegła, że wylewa kawę prosto na nową niebieską wykładzinę ani że wypuszcza z rąk pusty kubek, który z trzaskiem się rozbija. Wydała z siebie zdławiony okrzyk i rzuciła się w stronę swojego szefa, przyjaciela i powiernika, który osuwał się

na podłogę. W ostrym świetle jarzeniowych lamp jego twarz miała upiorny purpurowy kolor.

Zdażyła go złapać, zanim zwałił się bezwładnie u jej stóp. Uklękła przy nim i nakazując sobie spokój, mechanicznie odtworzyła w myślach zasady udzielania pierwszej pomocy. Na ABC ratownika składały się trzy podstawowe elementy: udrożnienie dróg oddechowych, sztuczne oddychanie, podtrzymanie krążenia. Doskonale wiedziała, co ma robić, a także to, że musi spojrzeć na swojego szefa jak na zwykłego pacjenta. Musi teraz oddać temu wspaniałemu, zdolnemu człowiekowi to, co przez lata z zapalem i poświęceniem ofiarowywał swym pacjentom.

- Wszystko będzie dobrze - zapewniła, rozpaczliwie wypatrując oznak życia. Czekwała na charakterystyczny ruch klatki piersiowej, gorączkowo szukała pulsu na szyi. - Panie profesorze! Gerardzie! - wołała przez łyzy, ale nie miała złudzeń, że on ją słyszy. Zawsze pełen życia, elokwentny i rozbijający swym urokiem profesor Gerard Dalton był już w świecie, z którego nie ma powrotu.

Mimo to nie przestawała go reanimować. Była gotowa zrobić wszystko, by przeciągnąć go przez magiczną granicę między życiem a śmiercią. Wciąż jest potrzebny tak wielu osobom: rodzinie, przyjaciółom, pacjentom, i wreszcie kolegom, z którymi stworzył ten oddział.

Usłyszała, że ktoś biegnie w jej stronę. Szybko zerknęła przez ramię i odetchnęła z ulgą, widząc, że nowy lekarz ma ze sobą torbę ze sprzętem do ratowania życia. Nie tracąc ani chwili, wyciągnął z niej małą butlę tlenową i przyrząd do tłoczenia powietrza wprost do płuc. Odsunęła się, by zrobić mu miejsce, i podczas gdy on zajął się sztucznym oddychaniem, wykonywała masaż serca.

- Co się stało? - W głosie Guya Boyda pobrzmiwała nuta ponaglenia. Nie przedstawił się ani nie przywitał, bo też sytuacja nie sprzyjała wymianie uprzejmości.

- Przecież wszystko odbyło się na pana oczach! - rzuciła pospiesznie. - Profesor zasłabł.

- Skarżył się na ból w obrębie klatki piersiowej?

- Nie.

- Bolała go głowa, miał zawroty albo trudności z oddychaniem?

- Nie! Byłam pewna, że za mną idzie.

- Czy mogę jakoś pomóc? - zapytał Vic, który od paru chwil bezradnie obserwował ich wysiłki.

- Musimy podłączyć go do aparatury. Niech pan biegnie po nosze! - zarządził Guy.

Po chwili wspólnymi siłami dźwignęli ciało profesora i umieścili na specjalnym łóżku do transportowania chorych. Madison pobiegła przodem i uruchomiła sprzęt, który do tej pory był poddawany jedynie testom próbnym. Z trudem docierało do niej, że pierwszym, tak długo oczekiwanym pacjentem, do przyjęcia którego przygotowywali się od miesiący, będzie sam szef i twórca oddziału.

Płaska linia, która chwilę później ukazała się na ekranie monitora, nie pozostawiała żadnych złudzeń.

- Całkowite zatrzymanie akcji serca - szepnęła.

- Niekoniecznie. - Guy miał nadzieję, że wynik widoczny na ekranie jest zafałszowany. Łudził się, że serce profesora wciąż bije, jednak na tyle słabo, iż maszyna nie jest w stanie tego wychwycić. Po cichu liczył na to, że mają do czynienia z przypadkiem arytmii, z której da się profesora wyprowadzić. Widocznie uznał, że wątpliwości przemawiają na korzyść pacjenta, gdyż zdecydował się na użycie defibrylatora. Niestety, pierwszy wstrząs nie przyniósł zmiany.

- Wciąż płaska linia - mruknęła Madison.

- Trzeba dalej robić mu masaż serca - postanowił Guy. Wiedział, że przypadek jest zbyt ciężki, by mogli tylko we dwoje przeprowadzić skuteczną reanimację. Na szczęście na oddział dotarła Shirley, jedna ze starszych pielęgniarek.

- Podawaj mu tlen - poleciła jej Madison. - A ty, Vic, wezwij karetkę. Tylko powiedz dyspozytorowi, żeby przysłali erkę - mówiła, przygotowując jednocześnie lekarstwa aplikowane w przypadkach zatrzymania akcji serca. Kątem oka obserwowała Guya Boyda, który znów użył defibrylatora. Skrzywiła się, gdy wstrząs poderwał do góry bezwładne ciało profesora, a w pomieszczeniu rozszedł się nieprzyjemny zapach spalenizny. W pewnym sensie krępowało ją, że widzi swojego zawsze nienaganego szefa w takim stanie: w rozchełstanej koszuli, z odrzuconym w kąt krawatem. O tym, jak eleganckim był mężczyzną, najlepiej świadczyła chusteczka wciąż wystająca z kieszonki marynarki - gorzkie przypomnienie jego znakomitej prezencji.

- Przepraszam, nie chcę wtrącać się w nie swoje sprawy... - odezwał się nieśmiało Vic i zaraz zamilkł, wyraźnie niepewny reakcji nowego lekarza. Guy skinął ponagląjąco głową, więc szybko dokończył: - Pamiętam, że profesor skarżył się wczoraj na ból pleców.

- Mógł mu pęknąć tętniak w aorcie - mruknął Guy.

- Moim zdaniem kręgosłup bolał go dlatego, że przez cały dzień nosiliśmy ciężkie pudła. Byłam przy tym, jak zaczął narzekać, że coś go boli - rzekła Madison.

- Trzeba otworzyć klatkę piersiową - zdecydował Guy. - Proszę przygotować narzędzia.

Madison automatycznie wykonała polecenie. Sprawnie rozłożyła na tacy instrumenty, przy pomocy których nowy lekarz miał za chwilę przeciąć mostek i odsłonić serce profesora. Pewnie będzie masował je własnymi dłońmi, a potem sprawdzi, dlaczego przestało bić. Założy zacisk na pękniętej aorcie, zatamuje krwotok albo usunie skrzep. Jednym słowem zrobi wszystko, co w ludzkiej mocy, by uratować to bezcenne życie. Tyle że profesor byłby przeciwny tym zabiegom. Madison była tego pewna.

- Nic więcej nie możemy zrobić.

Słyszała to zdanie niezliczoną ilość razy, sama wielokrotnie je wypowiadała, lecz dopiero teraz dotarł do niej prawdziwy sens tych słów. Są sytuacje, gdy zrobić wszystko znaczy mieć w sobie dość odwagi, by nie robić już nic więcej. Z pokorą uznać, że współczesna medycyna bywa czasem bezradna. Żaden wysiłek ani nawet największa determinacja nie mogą już pomóc Gerardowi - a już na pewno nie pomoże mu brutalny zabieg otwarcia klatki piersiowej przy pomocy piły.

- On nie żyje. - Nie wierzyła w to, co mówi, ale zdawała sobie sprawę, że taka jest okrutna prawda. I wiedziała, że jeśli natychmiast nie przerwą akcji reanimacyjnej, dopuszczą się profanacji zwłok.

- Moglibyśmy jeszcze... - Guy zawahał się, balansując między nadzieją a świadomością tego, co nieuchronne.

Madison poniosła wzrok i po raz pierwszy przyjrzała mu się uważnie. Wciąż był dla niej zupełnie obcym człowiekiem, bo oficjalnie nie zdążyła go jeszcze poznać. Mimo to była pewna, że Guy pojmuje, że właśnie wydarzyła się tragedia. Ciemnoblonde włosy opadły mu na czoło i zasłoniły piwne oczy, które przepelniał ból. On też na nią spojrzał, a potem przeniósł wzrok na ciało profesora. I nagle jakby zapadł się w siebie. Mocne ramiona, którymi jeszcze przed chwilą energicznie wykonywał masaż serca, zaczęły poruszać się coraz wolniej. Mową ciała wyrażał rezygnację, tak bardzo nie pasującą do jego wysokiej, wysportowanej sylwetki. Spojrzał na monitor, ale nie cofnął dłoni, które wciąż spoczywały na piersi profesora, w każdej chwili gotowe od nowa podjąć akcję.

- Nie leczył się? - zapytał.

- Profesor Dalton był pracoholikiem - szepnęła. - Tylko tyle potrafię powiedzieć.

Z jego oczu powoli zniknął wyraz cierpienia, gdyż jako lekarz musiał skupić się na czynnościach niezbędnych do stwierdzenia zgonu. Był w trakcie badania, gdy do sali wbiegli ratownicy z erki. Kiedy tylko zorientowali się, kto jest ich pacjentem, popadli w przygnębienie. Każdy bowiem, kto zajmował się ratownictwem, znał i szanował profesora Daltona.

- Czas zgonu - odezwał się głucho Guy Boyd i zerknął na zegarek: - piąta trzydzieści dwie rano.

Madison mechanicznie zrobiła wszystko, co należało - zamknęła profesorowi oczy i przykryła jego ciało prześcieradłem. A potem wyszła z sali, z trudem łapiąc powietrze, które nagle zrobiło się duszne i ciężkie. Bała się, że za chwilę zemdleje. Kiedy Guy zbliżył się do niej, drgnęła nerwowo.

- Co się stało? - zapytał jeszcze raz. - Niech mi pani powie, co się wydarzyło, zanim przyszedłem?

- Przecież wszystko pan widział - wykrztusiła. - Rozmawialiśmy, zastanawialiśmy się, jak wypadnie otwarcie oddziału, i nagle... - Zaczepnęła głęboko powietrza, próbując opanować wzburzenie. - Trzeba zawiadomić żonę profesora...

- Ja się tym zajmę - zaofiarował się, ale ona pokręciła głową.

- Yvonne zasługuje na więcej niż informacja podana przez telefon - powiedziała.

- Pojadę do niej. - Nawet jeśli początkowo się wahał, po chwili był już pewny swej decyzji. - Szpital zostanie otwarty dopiero za kilka godzin. Zdążę wrócić.

- Yvonne powinna dowiedzieć się o tym od kogoś, kogo zna... - Madison jakimś cudem zdołała powstrzymać łzy, które natarczywie cisnęły się - jej do oczu. Nie chciała się rozkleić, gdyż bała się, że jeśli zacznie płakać nie będzie mogła przestać.

- Znam Yvonne. - Guy lekko uścisnął jej ramiona. Nie była pewna, czy tym gestem próbuje dodać otuchy jej czy sobie. - Porozmawiam z nią w cztery oczy, tak będzie najlepiej. Na pewno będzie chciała przyjechać do szpitala. Dobrze się pani czuje? - spytał zaniepokojony i chwycił ją mocniej, jakby chciał ją podtrzymać. - Siostró...?

- Madison. - Czuła, że w jej gardle narasta krzyk, ale nie pozwoliła mu się wyrwać. Zaciśnęła dłonie w pięści i zmagła się z własną słabością. Nie chciała, by Guy był świadkiem tego, jak przestaje panować nad emocjami.

- Madison Walsh - powtórzył, dając do zrozumienia, że jej nazwisko nie jest mu obce. - Profesor wyrażał się o pani w samych superlatywach. - Jego twarz wykrzywił bolesny grymas. - Pojadę teraz do Yvonne. Trzeba będzie wezwać koronera, więc proszę niczego nie dotykać. - Z trudem przełknął ślinę. - W miarę możliwości proszę się postarać, żeby profesor wyglądał godnie...

- Nie musi mi pan o tym przypominać! - zirytowała się. Nie pojmowała, dlaczego tak się uniosła, ale ten mały wybuch złości przyniósł jej ulgę. - Wiem, co należy do moich obowiązków!

- Przepraszam. Absolutnie nie chciałem podważać pani kompetencji. Ja tylko... - Urwał. - Przykro mi.

Intuicyjnie wyczuwała, że nie przeprosza jej za swoje słowa, lecz wyrażał żal z powodu niepowetowanej straty, którą ponieśli.

- Mnie również - szepnęła. Nie miała pojęcia, jak przekaże tę hiobową wieść kolegom z zespołu.

I skąd weźmie odwagę, by stanąć twarzą w twarz z Yvonne.

W myślach rozpaczliwie szukała pocieszenia oraz siły, która pomogłaby jej to wszystko udźwignąć. Wsparcie, którego tak bardzo potrzebowała, nadeszło z najmniej oczekiwanej strony. Guy położył dłoń na jej ramieniu, w ten symboliczny sposób pokazując, że nie jest sama w żałobie i smutku.

- Damy sobie radę. Oddział na pewno ruszy. Nie potrzebowała takich zapewnień, bo nikt lepiej niż ona nie wiedział, jak wiele pracy włożył profesor w wyszkolenie ludzi i opracowanie procedur. Była pewna, że ten ogromny wysiłek nie pójdzie na marne i właśnie teraz, w chwili najcięższej próby, przyniesie efekty. Dlatego nie martwiła się, czy poradzą sobie bez profesora. Przeżywała jego śmierć na płaszczyźnie czysto osobistej, tak jak przeżywa się odejście osoby najbliższej. Guy musiał domyślić się, że tak jest.

- Profesor był dla pani kimś więcej niż tylko szefem, prawda?

- Tak, był dla mnie kimś wyjątkowo ważnym - przyznała i ulegając nastrojowi chwili, zaczęła mówić mu o rzeczach, o których od dawna z nikim nie rozmawiała. Oboje wiedzieli, że lada moment będą musieli stawić czoła niezliczonym zawodowym problemom, lecz na razie pozwolili sobie na chwilę wspomnień.

- Profesor odbierał mój poród.

- Tylko niech mi pani nie mówi, że urodziła pani w pracy! - zażartował, lecz jego z pozoru lekki ton podszyty był nutą żalu czy może konsternacji. Z trudem dawał wiarę, że ta oschła i wrogo nastawiona kobieta ma też łagodniejsze oblicze.

- Nie, ale niewiele brakowało! - Uśmiechnęła się do swoich wspomnień. - Potrzebowaliśmy pieniędzy, więc pracowałam niemal do końca ciąży. Aż pewnego dnia, w trzydziestym piątym tygodniu, zaczął mi dokuczać ból krzyża. Udawałam, że nic mi nie jest, ale profesor, jak to on, od razu się zorientował, że coś jest nie tak. Chciał mnie natychmiast odesłać na położniczy, ale ja się uparłam, żeby przedtem wstąpić do domu. Wtedy profesor, jak na prawdziwego dżentelmena przystało, zaproponował, że zawiezie mnie tam swoim autem.

- Urodziła pani w jego samochodzie!

- Na szczęście nie! Ale sprawdziłam, do czego służą górne uchwyty. - Widząc jego niepewną minę, odgadła, iż nie zrozumiał żartu - zapewne uważał, że uchwyty umieszczono wyłącznie po to, by można było na nich wieszać koszule odebrane z pralni. - Byliśmy w połowie drogi do mojego mieszkania, kiedy zaczęły się bóle parte. Profesor oczywiście nie stracił zimnej krwi. Najspokojniej w świecie zawrócił i zawiózł mnie prosto na porodówkę. Zdążyliśmy dosłownie w ostatniej chwili - opowiadała, lecz nagle radosne wspomnienia rozwiały się, ustępując miejsca bolesnej rzeczywistości. - Profesor był przy mnie w dobrych i złych chwilach. Także wtedy, gdy moje życie rozsypało się jak domek z kart...

Zamilkła, żałując, że pozwala sobie na tak osobiste wynurzenia przy bądź co bądź zupełnie obcym człowieku. Usprawiedliwiało ją tylko to, że w obliczu tragedii nawet najbardziej opanowane jednostki tracą głowę. Zirytowana własną słabością, przycisnęła dłonie do oczu i starała się odzyskać wewnętrzną równowagę.

Guy otwarcie się jej przyglądał, próbując wyobrazić ją sobie załamana i pokonana. Patrzył na ciemne proste włosy, które zdecydowanym ruchem odrzucała do tyłu, na jej twarz z dyskretnym, ale starannym makijażem, i na nienaganny strój, który zdradzał jej przynależność do kadry kierowniczej. Widząc porządnie wyprasowaną bluzkę w kolorze burgunda, schludną granatową spódnicę tuż za kolano i praktyczne ciemne rajstopy zastanawiał się, co kobieta taka jak ona może mieć na myśli, mówiąc, że jej życie się rozsypało. Według jego oceny jedyną wpadką osoby pokroju Madison Walsh

może być oczko w pończosze. Swoją drogą nie wątpił, że nosi w torebce zapasową parę, a jeszcze następną trzyma w szufladzie biurka.

- Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, żeby pani życie mogło się zawalić - przyznał.

- A jednak! Profesor bardzo mi wtedy pomógł.

- Zażenowana, iż traktuje swoje słabości tak pobłażliwie, zerknęła na niego nieśmiało. - Wspominał, że dobrze się znaliście.

- Niestety, nie na tyle dobrze, jak bym sobie życzył

- odparł miękko, a jej się zdawało, że w jego głosie pobrzmiwa ból. - Liczyłem, że wreszcie będę mógł to zmienić. Cieszyłem się perspektywą współpracy - przyznał. - No, na mnie pora. Jadę do Yvonne. Westchnął ciężko i wyszedł, by wypełnić swą niewdzięczną misję.

Tego dnia nie mogło spotkać go nic gorszego.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Madison była zadowolona, że ma tak wiele pracy. Liczyła, że uda jej się dokonać rzeczy z pozoru niemożliwej, czyli zapanować nad chaosem, w którym zaczęli się pograżać. Zdecydowana wprowadzić na oddziale ład i porządek, co pewien czas odbywała naradę z Shirley.

- Powiadomiłam już dyrektora generalnego - relacjonowała pielęgniarka. - Poprosiłam też Vica, żeby kierował pracowników do głównej poczekalni. Chyba będzie lepiej, jeśli przekazemy tę wiadomość wszystkim naraz.

- Słusznie - zgodziła się Madison. - Część osób widziała profesora tylko podczas rozmowy kwalifikacyjnej, ale większość z nas pracuje z nim od lat...

- Westchnęła ciężko. - Jestem pewna, że wielu kolegów zasmuci wiadomość o jego śmierci.

- Czy pani Dalton mieszka daleko od szpitala?

- zapytała Shirley, zerkając na zegarek. - I czy ten nowy lekarz będzie wiedział, gdzie ma jechać?

- Raczej tak. Profesor mówił, że dobrze się znają. Poza tym doktor Boyd nie pytał o adres, więc chyba zna drogę. Pewnie zaraz wróci, bo dom profesora jest pięć minut stąd. Lepiej wszystko przygotujmy.

Mówiąc „wszystko”, Madison miała na myśli ciało, lecz akurat w tej sytuacji pewne słowa nie musiały paść. Zresztą Shirley i tak doskonale rozumiała jej intencje i nie pytając o nic, poszła z nią na oddział ratownictwa. Obydwie chciały oddać zmarłemu ostatnią przysługę, a wiedząc, że jemu już nie pomogą, skupiły swoje wysiłki na tym, by ulżyć jego najbliższym.

Ponieważ zgon nastąpił nagle, ciało musiał obejrzeć coroner. Do jego przyjazdu nie wolno było niczego dotykać, dlatego zostawiły sprzęt reanimacyjny i ograniczyły się do uprzątnięcia strzykawek, kawałków gazy i pustych ampulek. Madison drżącymi dłońmi zapięła profesorowi koszulę, a potem podłożyła mu pod głowę poduszkę i wyjęła jego ręce na prześcieradło, tak by członkowie rodziny mogli uścisnąć jego dłoń.

- Wygląda tak spokojnie - szepnęła Shirley, i choć zwykle mówi się tak o zmarłych, tym razem była to prawda. Śmierć odjęła profesorowi co najmniej dziesięć lat, zmazując z jego twarzy ślady stresu, w jakim żył od miesięcy. - Może przewieziemy go do małej sali, żeby rodzina miała więcej prywatności? - zapytała, po czym umilkła, gdyż do środka zajrzał Guy.

Madison spojrzała na niego i skinęła głową na znak, że można wprowadzić żonę profesora. Nagle dotarło do niej, że ma w głowie pustkę: wszystkie

mądre zdania, którymi zazwyczaj pociesza się rodziny oplakujące swych najbliższych, gdzieś uleciały. Zaraz jednak przekonała się, że wszelkie słowa są zbędne - wystarczyło, że spojrzała na bladą, naznaczoną cierpieniem twarz Yvonne, którą dotąd знаła jako kobietę dumną i zadbaną, i wiedziała, iż ta na pewno nie chce słuchać kondolencji.

Gdy w niewielkim pomieszczeniu rozległ się jej szloch, serce Madison ścisnęło się z żalu. Mimo ogromnego wzburzenia zagryzła wargi i delikatnie ujęła zrozpaczoną kobietę za rękę, by ostrożnie położyć ją na dłoni męża.

- Czy woli pani zostać sama? - zapytała Madison, gdy Guy pomógł Yvonne Dalton usiąść. Żona profesora nawet na nią nie spojrzała, tylko skinęła głową.

- Yvonne? - Guy starał się mówić jak najłagodniej. - Czy mógłbym...?

- Proszę zostawić mnie samą! - rzuciła szorstko, kierując ku niemu oskarżycielskie spojrzenie.

- Jak przyjęła tę wiadomość? - zapytała go Madison, gdy po cichu wycofali się do pokoju pielęgniarek.

- Tak jak można się było spodziewać - odparł enigmatycznie, lecz posępny wyraz jego twarzy zdradzał, że ma za sobą ciężkie przejście. - Powiadomiłem już ich dzieci. Są w drodze. Mam do pani prośbę... Zwykle nie chowam głowy w piasek, ale ta sytuacja jest wyjątkowa. Dlatego chciałbym panią prosić, żeby zajęła się pani Yvonne, kiedy wyjdzie z sali. Mam wrażenie, że moja obecność tylko ją zdenerwuje.

- Oczywiście - odparła bez zastanowienia, lecz widząc jego zmartwioną minę, odważyła się dodać: - Niech pan nie bierze do siebie jej zachowania. Jestem pewna, że nie obwinia pana o to, co się stało. Jest wzburzona i odreagowuje na panu frustrację, bo to od pana dowiedziała się o śmierci męża.

- Możliwe - rzekł bez przekonania. - Mimo to uważam, że będzie lepiej, jeśli będę trzymał się z dala. Dobrze, a teraz przejdźmy do konkretów - rzucił zupełnie innym tonem. - Co udało się załatwić podczas mojej nieobecności?

Madison nie mogła oprzeć się wrażeniu, iż Guy celowo zmienił temat, nie zamierzała jednak tego roztrząsać. Z ulgą wróciła to spraw praktycznych i przekazała mu, co ustaliły z Shirley.

- Muszę jeszcze zadzwonić do dyżurnego w głównej stacji pogotowia - dodała na koniec.

- Do dyżurnego? A po co? - zdziwił się. - Myślałem, że będziemy przyjmowali karetki dopiero po jedenastej.

- Owszem, tyle że nie jestem pewna, czy w obecnej sytuacji w ogóle powinniśmy otwierać oddział. - Guy przyjął jej słowa ze zdumieniem, ją zaś ta reakcja mocno zirytowała. - Wydaje mi się, że nie do końca zdaje pan sobie sprawę, jak ważną rolę odgrywał profesor. Bez niego naprawdę trudno wyobrazić sobie tu pracę.

- Być może nie mam tej świadomości - stwierdził obojętnie - ale chciałbym zauważyć, że pacjenci również jej nie mają. Natomiast wiem ponad wszelką wątpliwość, że kartka z napisem „zamknięte” jest ostatnią rzeczą, jaką chce ujrzeć na drzwiach szpitala ktoś, komu nagle zachoruje dziecko lub małżonek. Wszyscy wiedzą, że dziś ma nastąpić oficjalne otwarcie, więc każdy, kto będzie potrzebował pomocy, tu przyjedzie. Za dziesięć minut spotkamy się z personelem - oznajmił i wyszedł, nie czekając na jej reakcję.

Właśnie wtedy zza zasłony wyszła Yvonne. Widząc, jak bardzo jest roztrzęsiona, Madison zaprowadziła ją do małej sali konferencyjnej. Usiadła obok niej i w milczeniu czekała, aż przestanie płakać i się odezwie.

- Kiedy mój mąż zasłabł... - Yvonne przełknęła ślinę, próbując zapanować nad łamiącym się głosem. Chwilę odczekała, a potem, mnąc nerwowo chusteczkę, wykrztusiła z trudem: - Kiedy przyszedł doktor Boyd i mój mąż zasłabł, czy coś powiedział?

- Niestety, nie. To stało się tak nagle...

- Wiem - wycedziła przez zęby - ale muszę wiedzieć, co mówił. Muszę dowiedzieć się, co...

Niespodziewanie urwała. Jej ton zdradzał, że z trudem panuje nad emocjami. Madison nie spieszyła się z odpowiedzią, długo zastanawiając się nad doborem słów. Nie była zaskoczona pytaniem, gdyż ludzie często dopytują lekarzy, co mówili ich bliscy tuż przed śmiercią. Przeważnie liczą na to, iż zmarły w ostatnich słowach przekazał im coś ważnego. Tyle że w przypadku profesora te znamienne ostatnie słowa w ogóle nie padły.

Yvonne Dalton miała prawo wiedzieć, jak odchodził jej mąż, więc Madison opowiedziała jej ze szczegółami, jak wyglądały jego ostateczne chwile. Starła się być wyjątkowo delikatna, gdyż zdawała sobie sprawę, iż Yvonne może pamiętać tę rozmowę do końca życia.

- Zapewniam panią, że nie cierpiał - podkreśliła.

- I nawet na moment nie odzyskał przytomności? - dopytywała się pani Dalton.

- Nie.

- I naprawdę nic nie powiedział? Nie rozmawiał z doktorem Boydem? - próbowała się upewnić.

- Nie - powtórzyła Madison cierpliwie.

- Nie wierzę pani! - zawołała Yvonne, przesywając ją gniewnym wzrokiem. - Niech mi pani natychmiast wszystko powtórzy - upierała się. - Ja muszę to wiedzieć!

Tym razem Madison poczuła się zbита z tropu. Nie miała pojęcia, co Yvonne Dalton chce od niej usłyszeć. Szybko jednak przywołała się do porządku i o nic nie pytała, gdyż doświadczenie nauczyło ją, iż powinna cierpliwie czekać, aż Yvonne sama powie, o co chodzi.

- Więc mówi pani, że mój mąż przed śmiercią nie rozmawiał ani z panią, ani z doktorem Boydem?

- Nie. Proszę mi wierzyć, chciałabym móc pani powiedzieć, że było inaczej, ale przecież nie będę kłamać. Profesor nie zdążył przekazać nam żadnej wiadomości. Wiem, że w tej chwili pani cierpi, ale może z czasem znajdzie pani ukojenie w świadomości, że profesor odszedł bardzo szybko i do ostatnich chwil pozostał wspaniałym, pełnym życia człowiekiem, jakiego wszyscy znaliśmy.

- Ma pani rację - przyznała Yvonne. - To rzeczywiście bardzo pocieszające.

Madison z rosnącym zdumieniem obserwowała, jak pod wpływem tego, co właśnie powiedziała, zmienia się nastrój żony profesora. Zupełnie jakby jej słowa przyniosły natychmiastowy efekt.

- Dziękuję pani za pomoc, a zwłaszcza za to, co zrobiła pani dla Gerarda. A teraz, jeśli pani pozwoli, chciałabym wykonać kilka telefonów. Czy ktoś mógłby przynieść mi filiżankę kawy?

- Oczywiście. Zaraz kogoś tu przyślę.

- A czy mogę dostać proszek od bólu głowy?

- Naturalnie. Zaraz go pani przyniosę. Madison po cichu wyszła z sali. Czowała się nieco skonsternowana, gdyż nigdy dotąd nie widziała, by ktoś tak szybko otrząsnął się z przygnębienia. Uznała jednak, że nie jej oceniać cudze reakcje. Częste obcowanie z ludźmi przeżywającymi tragedie nauczyło ją jednego: tego mianowicie, iż każdy przeżywa żalobę inaczej.

Spełnienie próśb Yvonne Dalton zajęło jej nieco więcej niż dziesięć minut. Niezadowolona, iż każe na siebie czekać kolegom, czym prędzej poszła do poczekalni, w której miało odbyć się spotkanie. Po drodze układała sobie w głowie tekst swojego krótkiego wystąpienia. Ani przez chwilę nie podejrzewała, iż nowy lekarz uzna za stosowne wyręczyć ją w tym smutnym

obowiązku i nie czekając na nią, sam powiadomi zespół o nieszczęściu. Tymczasem, gdy spóźniona weszła do poczekalni, koledzy wiedzieli już, co się stało!

- Wszyscy jesteśmy zszokowani, lecz z pewnością najbardziej ci, którzy mieli przyjemność dłużej pracować z profesorem. Rozumiem państwa smutek, jednak... - Guy zawiesił głos i zaczekał, aż umilkną nerwowe szepty, a potem zmienił ton i oznajmił: - Za niecałe dwie godziny rozpoczynamy pracę, a za niespełna cztery godziny zaczną przyjeżdżać karetki. Sytuacja jest wyjątkowa, dlatego muszę państwa prosić o całkowitą szczerłość. Każdy z was musi zdecydować, czy po tym, co usłyszał, jest w stanie pracować. Jeśli nie, lepiej, żeby poszedł do domu.

Słyszając tę brutalnie szczerą wypowiedź, Madison skrzywiła się z niesmakiem. W pierwszym odruchu miała ochotę podejść do Boy da i przy wszystkich zapytać go, kto dał mu prawo zabierać głos i wymagać od ludzi pełnej gotowości bojowej? I w ogóle jak śmie zachowywać się tak, jakby nic wielkiego się nie stało. Jednak w miarę jak mówił, słuchała go z rosnącą uwagą. I zastanawiała się, czy przypadkiem nie powinna przyznać mu racji.

- Nie będzie żadnej taryfy ulgowej - uprzedził.

- Jeśli ktoś czuje, że nie nadaje się do pracy, nic tu po nim. Każdy, kto się do mnie zgłosi, bez problemu dostanie płatny urlop okolicznościowy. Wolę mieć niedobór rąk do pracy, niż czytać skargi od niezadowolonych pacjentów lub ich rodzin. A teraz napijcie się kawy i spróbujcie szybko przemyśleć to, co tu usłyszeliście. A potem ci, którzy stwierdzą, że mogą pracować, niech wracają na swoje stanowiska. Macie piętnaście minut. - Przeniósł wzrok na Madison. - Profesor Gerard Dalton oczekiwałby, że staniecie na wysokości zadania.

- Niezły jest, co? - mruknęła Shirley z uznaniem.

- Jeszcze niedawno byłam pewna, że lepiej przełożyć otwarcie oddziału na jutro, ale to, co mówi ten nowy, ma sens, nie sądzi pani?

- Owszem - przyznała Madison.

Była jednak tak spięta, że nawet nie zdołała wzruszyć ramionami. Uważnie obserwowała, jak koledzy gromadzą się wokół Guya, zasypując go pytaniami lub szukając słów pocieszenia, i wyrzucała sobie własną małość.

W ciągu zaledwie paru minut nowemu lekarzowi udało się dokonać tego, co jej zajęło długie miesiące. Na jej oczach stworzył zespół. Kiedy ludzie się rozeszli, Guy podszedł do niej.

- I co? - zapytał.

Udała, że nie wie, o co mu chodzi.

- Jak to co? - Ściągnęła brwi.

- Zostaje pani, czy wraca do domu?

- Ani przez chwilę nie miałam takiego zamiaru - wycedziła. - Jedyne zasugerowałam, że powinniśmy przełożyć oficjalne otwarcie. Aczkolwiek muszę powiedzieć, że po namyśle doszłam do wniosku, że lepiej będzie działać zgodnie z planem.

- Cieszę się! - rzucił lakonicznie.

Madison odniosła wrażenie, iż zachowuje się tak, jakby właśnie wygrał bitwę, choć ona nawet nie wiedziała, że ją toczą.

- Pójdę sprawdzić, jak czuje się Yvonne. A pan pewnie będzie chciał się przebrać - rzekła domyślnie.

- Przebrać się?

- Jest pan lekarzem, tak? - zapytała ironicznie, patrząc z dezaprobatą na jego dżinsy i T-shirt.

- Ach, to. - Roześmiał się i zaczął szukać czegoś w kieszeniach. Po chwili wyciągnął identyfikator i na oczach zgorzzonej Madison powiesił go sobie na szyi.

- Dziękuję, że mi pani przypomniała.

- I co, udało się? - Helen otworzyła drzwi i wpuściła Madison do środka. - Pewnie jesteś wyczerpana.

- Nie powiem, że nie. - Z ulgą opadła na krzesło przy kuchennym stole i entuzjastycznie pokiwała głową, gdy przyjaciółka podniosła do góry czajnik. - Jak Emily?

- Doskonale! Wcale za tobą nie tęskniła. Ale mów wreszcie, jak wam poszło. Dlaczego trzymasz mnie w niepewności? Mielście dużo pracy? Były jakieś dramaty?

Madison nie wiedziała, co powiedzieć. Z kłopotu wybawił ją tupot nówek jej pięcioletniej córeczki, która przybiegła z ogrodu, gdzie bawiła się z synem Helen. Słyszając znajomy odgłos, Madison uśmiechnęła się promiennie, po raz pierwszy od dwunastu godzin. Po chwili mocno tuliła córkę w ramionach.

- Fajnie było w szkole? - zapytała, lecz za odpowiedź musiało jej wystarczyć niedbałe skinienie głową.

Domyśliła się, że Emily malowała, gdyż sukienkę miała poplamioną farbą.

- Powiedz, byłaś grzeczna, czy ciocia Helen będzie musiała się na ciebie skarżyć?

- Richard ze mną ciągle gadaliśmy, aż w końcu zrobiło się późno i ciocia musiała nas uciszać - przyznała się Emily.

- Richard i ja rozmawialiśmy - poprawiła ją Madison.

- Nie „i ja”. Przecież on rozmawiał ze mną, nie z tobą - obruszyła się rezolutna pięciolatka. - Jak było w pracy, mamusiu? - zapytała, gładko zmieniając temat.

Patrząc na jej zaróżowioną twarzyczkę, Madison po raz tysięczny i pierwszy pomyślała o tym, jak bardzo Emily przypomina swego ojca Marka. Odziedziczyła po nim nie tylko urodę, lecz także charakter, a zwłaszcza umiejętność szybkiej ucieczki przed poważną rozmową.

- Czy ktoś dzisiaj umarł? - zapytała dziewczynka z bezpośredniością pięcioletniego dziecka. - Leczyłaś jakieś chore dzieci? I czy w porę napełnili automaty?

- Tak, tak i jeszcze raz tak - odparła Madison, choć dobrze wiedziała, że tak naprawdę jej córkę interesuje odpowiedź na ostatnie pytanie.

Emily przeżywała fascynację automatami, w których można było kupić słodczy lub napoje.

- Mamo, a jak ta pani je napełnia? Ma taką chudziutką rękę, może ją wsunąć w szczelinę, do której wrzuca się pieniądze? - pytała z przejęciem.

Madison nie miała serca powiedzieć jej prawdy, że tajemnicza „pani” ma klucz, którym otwiera szklane drzwi i uzupełnia zapasy.

- Proszę. - Madison wyjęła z torby dwa batoniki. - Jeden dla ciebie, drugi dla Richarda. Biegnij do niego i jeszcze chwilę się pobaw.

- Coś się stało, tak? - Helen spojrzała na nią podejrzliwie.

- Skąd wiesz?

- Pierwszy raz, odkąd cię znam, dałaś dzieciom słodczy przed kolacją. I pierwszy raz nie sprawdziłaś, czy Emily odrobiła pracę domową.

- Taka jestem przewidywalna?

- Oj, tak! - Helen ze śmiechem postawiła przed nią kubek kawy. - Proszę, napij się, a potem mi powiedz, co poszło nie tak.

- Umarł profesor Dalton - oznajmiła wprost, uznała bowiem, że nie ma sensu bawić się w subtelności. - Spotkaliśmy się rano przed szpitalem, poszliśmy na oddział i zaczęliśmy omawiać różne sprawy. Jeszcze zdążył zrobić mi kawę... - relacjonowała, a widząc zszokowaną minę Helen, uśmiechnęła się blado. - Nagła śmierć nie jest zaraźliwa.

- Tak mi przykro! - Helen z wrażenia aż odstawiła kubek. - Opowiadaj, jak to się stało?! Rozumiem, że nastąpiło to nagle.

- Tak. - Madison ze smutkiem pokiwała głową i opowiedziała Helen o całym zdarzeniu.

- Skarżył się na ból w klatce piersiowej? - dopytywała, usiłując dociec przyczyny nieszczęścia.

- Nie. Teraz, kiedy o tym myślę, jestem prawie pewna, że kiedy upadł na podłogę, już nie żył. Nie miał najmniejszej szansy na ratunek.

- Wobec tego co było przyczyną zgonu?

- Jeszcze nie wiadomo. Dopóki nie poznamy wyników sekcji, możemy tylko spekulować. Zawał, wylew. Wydaje nam się, że mogło to być pęknięcie tętniaka. Profesor skarżył się na ból pleców, ale moim zdaniem po prostu się przedźwiął.

- Przy tętniaku miałyby więcej objawów - zauważyła trzeźwo Helen. Jako pielęgniarka pracująca na bloku operacyjnym wiele się nasłuchiwała i naoglądała. - Byłby blady, pociłby się, byłoby widać, że coś mu dolega.

- Niczego takiego nie zauważyłam - stwierdziła Madison. - Myślę, że jutro będziemy mieli wyniki. Tylko co nam z tego? Gdybyś widziała jego żonę i dzieci... Byli zrozpaczeni. To taka kochająca się rodzina.

- Jak ty sobie sama poradziłaś? - Helen nie posiadała się ze zdziwienia.

- Mówiłam ci, że byłam sama tylko przez parę minut. Potem przybiegł nowy lekarz i razem prowadziliśmy akcję reanimacyjną.

- Biedactwo! - westchnęła Helen.

Madison była jej głęboko wdzięczna za współczucie. I mocną kawę. Właśnie tego było jej trzeba: chwili wytchnienia i towarzystwa życzliwej osoby. Szybko jednak zrozumiała, że współczucie przyjaciółki dotyczy kogoś innego.

- To musiało być dla niego straszne. Wyobraź sobie, że coś takiego spotyka cię pierwszego dnia w nowej pracy.

- Nie zauważyłam, żeby bardzo się tym przejął - odparła z przekąsem. - Właściwie to przeszedł nad tym do porządku dziennego.

- A co miał zrobić? - obruszyła się Helen. - Tylko pomyśl: przychodzisz do nowej pracy, i właśnie tego dnia twój mentor i przełożony nagle umiera. Przecież wszystkie obowiązki związane z prowadzeniem oddziału spadły na głowę tego nieszczęśnika.

- Wcale nie wszystkie! - odrzekła Madison odrobinę za szybko. I zbyt defensywnie.

Dzień, który dla niej był wyjątkowo ciężki, dla Guya musiał być jeszcze gorszy. Już w dniu otwarcia szpital przyjął rekordową liczbę pacjentów.

Nowy lekarz, któremu nagle zabrakło szefa, musiał samodzielnie poradzić sobie z mnóstwem problemów, począwszy od tych najpoważniejszych, bo dotyczących śmiertelnie chorych ludzi, na zupełnie trywialnych kończąc.

Madison dopiero teraz spojrzała na całą tę sytuację oczami innej osoby i poczuła się winna. Zwłaszcza że Guy kilka razy pytał ją, jak się czuje, a po południu przyniósł jej herbatę i kanapkę. A co ona zrobiła dla niego?

Zupełnie nic!

- Chryste! - jęknęła Helen. - Co za fatalny początek!

- Prawda?! Muszę przestać o tym wszystkim myśleć, przynajmniej dopóki Emily nie pójdzie spać.

- Niezła myśl. Spróbuj się wyłączyć na parę godzin. Wyobrażam sobie, jak musisz być padnięta. Zostaniesz na kolacji?

W pierwszej chwili Madison chciała podziękować i poprosić Emily, by zaczęła pakować swoje rzeczy. Jednak perspektywa powrotu do domu i pospiesznego odgrzewania gotowego dania z mrożonki wydała jej się tak mało zachęcająca, że szybko zmieniła zdanie.

- Chętnie zostaniemy, jeśli nie będziemy ci przeszkadzać.

- Przeszkadzać? Moje życie od razu staje się łatwiejsze, kiedy Richard ma się z kim bawić.

- Wobec tego zostajemy. - Uśmiechnęła się, nie kryjąc ulgi, zaraz jednak spoważniała i odetchnąwszy głęboko, powiedziała: - Wiesz co, Helen? Obawiam się, że po tym, co się dziś wydarzyło, nie dam rady wychodzić z pracy o stałej porze. Niewykluczone, że będę musiała odbierać Emily trochę później...

- Nie martw się. Dla mnie to żaden problem. Zresztą i tak wiedziałam, że po otwarciu oddziału nie będziesz mogła rzucić wszystkiego, żeby punktualnie o wpół do czwartej wyjść do domu.

- Mówisz poważnie?

- Pewnie! - odparła Helen bez wahania.

Przed dwoma laty umówiły się z Madison, że będą sobie pomagały w opiece nad dziećmi. Pewnego dnia spotkały się przy automacie z napojami w szpitalnej kantynie. Rozmowę zaczęły od narzekania na wyjątkowo podłe cappuccino, skończyły zaś na obietnicy wzajemnej pomocy. Dobrały się wprost idealnie: dwie samotne, mieszkające blisko siebie pielęgniarki. Szybko porównały plany swoich dyżurów i ustaliły precyzyjny podział obowiązków. System, który wtedy stworzyły, sprawdzał się do dziś.

- Naprawdę nie będzie mi przeszkadzało, jeśli Emily przez kilka tygodni będzie zostawała u mnie trochę dłużej - zapewniła Helen. - Nawet dobrze się składa, bo będzie mi łatwiej poprosić cię o przysługę. Czy mogłabyś zająć się Richardem w piątek wieczorem?

- A co, wypadł ci dodatkowy dyżur czy impreza? Helen uśmiechnęła się, a potem wypowiedziała dwa słowa, które Madison spodziewała się usłyszeć:

- Mam randkę!

- Poważnie?! Z facetem?

- Nie. Z cholernie napaloną lesbijką - rzuciła, a widząc zgorzowaną minę koleżanki, dodała: - Oczywiście, że z facetem.

- Przepraszam za głupie pytanie! - Madison uśmiechnęła się z zakłopotaniem. - Nie miałam pojęcia, że kogoś masz.

- Bo nie mam. Przynajmniej na razie. To będzie nasze czwarte spotkanie. Nie chcę prosić mamy, żeby przyjechała do Richarda, bo zaraz zaczniesz sobie wyobrażać Bóg wie co.

- Jaki on jest? I gdzie go poznałaś?

- A gdzie samotna matka może poznać faceta? Oczywiście w szkole, na placu zabaw - roześmiała się Helen. - Mieszka tu od niedawna. Od lat jest wdowcem, wolnym i bez zobowiązań.

- Mój mąż też zmarł parę lat temu, a ja wciąż wlokę za sobą spory balast.

- No bo ty jesteś taka skomplikowana... - ironizowała Helen.

- Jak ktoś jest po trzydziestce, to rzadko kiedy nie dźwiga na plecach bagażu doświadczeń - odparła Madison. - Dowiem się, jak ma na imię samotny ojciec bez zobowiązań?

- Matthew.

- Co robi?

- Jest cieślą.

- Ile ma dzieci?

- Jedno. - Helen lekko się wzdrygnęła. - I dzięki Bogu. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby na przykład miał troje?

- Wypluj to słowo! Dokąd cię zabiera twój adorator?

- Nie mam pojęcia. Powiedział, żebym się ubrała elegancko, ale nie wystrzałow.

- Czyli nie wiadomo, czego się spodziewać - podsumowała Madison. - Żałuj, że nie widziałaś, jak się wystroił do pracy ten nowy lekarz. Przyszedł w dżinsach, adidasach i podkoszulku. Kiedy mu powiedziałam, żeby poszedł się

przebrać, jak gdyby nigdy nic przypiął sobie identyfikator - opowiadała, nie kryjąc oburzenia.

Jakież było jej zdziwienie, gdy Helen zaczęła się śmiać.

- Nie widzę w tym nic zabawnego! - fuknęła.

- A ja tak! Zwłaszcza gdy sobie przypomnę, jaka z ciebie ubraniowa rygorysta! Masz na tym punkcie bzika.

- Nieprawda! Po prostu ubieram się stosownie do okazji - broniła się, bezskutecznie próbując zignorować Helen, która kpiarsko uniosła w górę brwi. - Uważam, że z szacunku dla pacjentów personel medyczny powinien być odpowiednio ubrany. Moim zdaniem lekarz, który paraduje w znoszonych dżinsach, nie wzbudza zaufania.

- Powiem szczerze, że gdybym to ja była pacjentką, byłoby mi obojętne, co ma na sobie lekarz. Najważniejsze, żeby wiedział, co robi i znajdował czas, żeby spojrzeć mi prosto w oczy i powiedzieć, co i jak. Znam wielu lekarzy, którzy stroją się w garnitury za tysiąc dolarów, ale zachowują się jak ostatnie gbury.

- Możliwe - mruknęła Madison bez przekonania.

- A ten nowy jest chociaż przystojny? Madison wolałaby, żeby to pytanie nigdy nie padło.

- Chyba tak - przyznała niechętnie. - Zwłaszcza jak ktoś lubi nonszalancki wizerunek w stylu: „właśnie wstałem z łóżka i zapomniałem wejść pod prysznic” - szydziła, myśląc tylko o tym, by jak najszybciej zmienić temat.

- Mnie tam się taki typ podoba - przyznała Helen. - Ten nowy jest singlem?

- Przecież go nie pytałam! - obruszyła się Madison. - Ale sądząc po tym, co mówił o nim profesor, wątpię, żeby miał rodzinę. Zdaje się, że to jakiś nieodpowiedzialny gość. Podpisał z nami kontrakt tylko na sześć miesięcy.

- Cóż za zniewaga! - roześmiała się Helen, ale Madison jakoś nie podzielała jej radości.

- Profesor mówił, że ten nowy sporo podróżował, podobno zdobywał zawodowe doświadczenie. To oczywiście mu się chwali, ale ktoś, kto ciągle fruwa z kwiatka na kwiatek, wydaje mi się mało wiarygodny.

- Musi być bogaty, skoro stać go na takie ekstrawagancje.

- Pieniądze to nie wszystko!

- Mnie w każdym razie ten twój nowy lekarz bardzo się podoba. Może kiedyś wybierzemy się gdzieś we czwórkę - rozmarzyła się Helen.

- Nie ma mowy! Wszystkie wolne dni mam zajęte. I to do końca stulecia! - oświadczyła Madison, a widząc, że Helen nie kwapi się z przygotowaniem

kolacji, wstała i zaczęła kroić warzywa na sałatkę. - A tak swoją drogą Guy Boyd jest ostatnim facetem, z którym chciałabym się umówić - burknęła, choć nikt jej o to nie pytał.

- A ty w ogóle myślałaś, żeby znów zacząć to robić? - zapytała Helen z powątpiewaniem.

- To, to znaczy co?

- Umawiać się z mężczyznami. Od śmierci Marka minęło pięć lat...

- A ja jeszcze nie zdążyłam stanąć pewnie na nogi. - W głosie Madison słychać było gorycz. - Kiedy poznałam Marka, określenie „wolny duch” wydawało mi się szalenie atrakcyjne. Uważałam, że to cudowne iść za głosem serca, nie martwiąc się, co będzie jutro. Naprawdę wierzyłam Markowi, kiedy mówił, że problemy same się rozwiążą. Wydoroślałam dopiero, kiedy urodziła się Emily. Zrozumiałam, że nic nie zrobi się samo.

- Madison, ja wiem, że wiele przeszłaś... - Helen sprawdziła, czy drzwi są zamknięte. - Masz prawo być nieufna, ale przecież nie wszyscy mężczyźni są nieodpowiedzialni. Na tym świecie naprawdę nie brakuje fajnych chłopaków.

- Co ty powiesz? I skąd ta pewność? - Madison nie lubiła takich rozmów, bo burzyły jej wewnętrzny spokój. - Możemy pogadać o czymś innym? Nie narzekam na swoje życie, i niech tak zostanie.

- Jak sobie życzysz. - Helen nie chciała być natarczywa, lecz jej wymowne westchnienie zdradzało, że chętnie podrażłyby temat.

Dyplomatycznie odczekała chwilę, a gdy przekonała się, że Madison naprawdę nie zamierza kontynuować tego tematu, dała za wygraną i zajęła się przygotowywaniem posiłku.

Mimo iż rozmowa zesłała na neutralny grunt, czyli dzieci, Madison wciąż była zdenerwowana. Tym razem rozdrażnienie nie miało związku ze śmiercią profesora, lecz z różnymi refleksjami na temat jej własnego życia.

Nie potrafiła zrozumieć postępowania Helen. Jej przyjaciółka miała za sobą wyjątkowo nieudane małżeństwo i, jak sama twierdziła, przeklęła cały męski ród. Teraz nagle okazało się, że jest otwarta na nowy związek. Madison nie mieściło się to w głowie.

Helen uporała się z przeszłością i próbowała rozpocząć nowe życie. I delikatnie sugerowała, że Madison powinna zrobić to samo.

Tyle że ona po prostu nie była na to gotowa.

ROZDZIAŁ TRZECI

- Dzisiaj mam się ubrać w strój sportowy! - zawołała Emily, zerkając z niesmakiem na ubranka leżące na kanapie.

- I właśnie taki ci przygotowałam. - Madison postawiła na stoliku szklanę soku dla córki i poszła zrobić sobie makijaż.

- Ale dałaś mi skarpetki w paski!

Okrzyk oburzonej pięciolatki sprawił, że Madison znieruchomiała i ze zdziwieniem mrugnęła okiem, które właśnie miała zamiar pomalować. Taka pomyłka, choć banalna, była w jej przypadku czymś niezwykłym.

- Skarpetki muszą być białe, a te mają czerwony pasek - narzekała tymczasem Emily.

- W porządku. Zaraz dam ci białe - odkrzyknęła, coraz bardziej zirytowana tak głupią wpadką.

Rytuał porannych przygotowań miała opanowany do perfekcji, tyle że ten rano zdecydowanie różnił się od pozostałych, gdyż nastąpił po ciężkiej nieprzespanej nocy. Co gorsza, to nie nagła śmierć profesora nie dała Madison zmrużyć oka, ale niepotrzebne uwagi Helen. Istniało jeszcze jedno wytłumaczenie nagłego ataku bezsenności, ale Madison z uporem nie przyjmowała go do wiadomości. Bo czy mogło być prawdą, że to nowy lekarz przyprowadził ją o bezsenność?

I wytrącił z równowagi.

Odłożyła tusz i wróciła do pokoju córki. Pewnym ruchem otworzyła górną szufladę komody i wyjęła parę starannie złożonych skarpetek. Mogła sięgnąć po nie z zamkniętymi oczami, taki tu panował porządek. Ale zamiast zamknąć oczy, długo wpatrywała się w zawartość szuflady. Wcierając w policzki podkład pod makijaż, przyglądała się rzędkowi równiutko poskładanych skarpet i wyprasowanych w kant majtek. Potem rozejrzała się po pokoju. Omiotła wzrokiem półki równo poustawianych książek i łóżko, które już zdążyła zaścielić.

Idealny porządek, zupełnie nie pasujący do dziecięcego pokoju, powinien ją ucieszyć. Tymczasem tylko ją zirytował.

- Proszę. - Podała córce skarpetki, zastanawiając się, nie pierwszy zresztą raz, czy inna pięciolatka zwróciłaby uwagę na taki szczegół jak kolorowy paseczek na białej skarpetce.

A potem, również nie po raz pierwszy, przyszło jej do głowy, że być może Helen ma rację i faktycznie powinna sobie trochę odpuścić.

Wróciwszy do łazienki, dokończyła nakładanie fluidu w naturalnym odcieniu, a potem użyła równie neutralnego w kolorze różu i takiej samej szminki - zupełnie jakby zamknęła w kosmetyczce długie lata ograniczeń i wyrzeczeń.

I w imię czego?

- Cześć, Madison! - Wesoły głos Maxa, jednego z ratowników, oraz wymowne wzniesienie oczu do nieba zdradzały, iż nie jest szczególnie przejęty stanem pacjentki, którą wioził na noszach.

Madison spojrzała na twarz kobiety, która, trzymając się za brzuch, wiła się z bólu, i od razu zrozumiała, skąd to zachowanie kolegi.

- Komu mogę przekazać pacjentkę? - zapytał.

- Na przykład mnie.

- Tobie? Przecież ty tu jesteś szefową. - Max pozwolił sobie na złośliwy uśmiech. - Nie powinnaś być teraz w swoim gabinecie?

Żartował sobie z niej, ale faktycznie jako przełożona pielęgniarek wykonywała głównie pracę biurową, a z pacjentami stykała się tylko wtedy, gdy skarżyli się na pracę jej podwładnych. Bardzo brakowało jej bezpośredniego kontaktu z chorymi.

- Przepraszam, że musieliście czekać! - Do noszy podbiegła pielęgniarka imieniem Alanna. - Ja się tym zajmę, Madison. Ty lepiej wracaj do swoich ważnych spraw.

W tym, co powiedziała, z pewnością nie było żadnych złych intencji, ale Madison i tak się najeżyła. Allana była bowiem jej kontrkandydatką do stanowiska szefowej pielęgniarek.

- Gratuluję! I naprawdę nie mam nikomu za złe, że to ciebie wybrano - zapewniła, gdy ogłoszono nominację, ale Madison wątpiła w szczerść tych słów.

Domyślała się, że koleżanka chętnie zajęłaby jej miejsce. Paradoksalnie ona sama chętnie weszłaby w jej skórę. Nie chciała jednak podsycać wzajemnych animozji, zmusiła się więc do uśmiechu.

- Zostaw to mnie, Alanno. Zrób sobie przerwę na kawę - zaproponowała. I wcale się nie zdziwiła, że jej propozycja nie spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem.

- Zostaliśmy wezwani na stację benzynową, gdzie miała zastąpić niejaką pani Julie Bartram - relacjonował tymczasem Max. - Na miejscu okazało się, że to Judith Baker, lat czterdzieści osiem, w przeszłości wielokrotnie operowana...

- Znam historię medyczną tej pani - przerwała mu Madison, uśmiechając się z przekąsem.

Zapewne każdy oddział ratownictwa w stanie Victoria znał Judith Baker, podobnie jak oddziały szpitali międzystanowych. Nieszczęsna kobieta cierpiała bowiem na rzadkie zaburzenie psychiczne zwane syndromem Munchausena. Osoby dotknięte tą przypadłością symulowały poważne schorzenia i często niepotrzebnie poddawały się skomplikowanym i bolesnym zabiegom medycznym, czego najlepszym przykładem była Judith. Ponieważ w większości szpitali figurowała na czarnej liście oszustów i symulantów, próbowała dostać się do nich pod fałszywym nazwiskiem, ale prędzej czy później i tak ją rozpoznawano...

- Siostro, niech mnie pani ratuje. Jestem poważnie chora - jęczała, wpatrując się błagalnie w Madison. - Straszliwie boli mnie brzuch. Przysięgam, że niczego nie udaję.

- Proszę zawieźć pacjentkę do dwójki - poleciła Madison, budząc zdumienie ratowników, którzy spodziewali się, że kobieta zostanie natychmiast odesłana do domu.

- Do dwójki? - upewnił się zdezorientowany Max.

- W czasie weekendu trzy razy wzywała karetkę. W torbie ma trzy opakowania silnych środków przeciwbólowych, każdy wypisane na inne nazwisko - mówił oburzony, pchając nosze.

- Ja wiem. Pewnie znów ma atak manii, ale mnie niełatwo podejść. Nigdy nie traktowałam jej pobłaźliwie, parę razy odesłałam ją z kwitkiem. Tylko że tym razem objawy wydają mi się niepokojące.

- W porządku. - Max wzruszył ramionami. - Czy już wiadomo, kiedy będzie pogrzeb? - spytał, zmieniając ton.

- Jeszcze nie. Zawiadomię was, jak tylko rodzina ustali datę.

- Na pewno przyjdzie mnóstwo ludzi. Wygłosisz mowę pożegnalną?

- Ja? - zdziwiła się.

- Ty. Przecież pracowałaś z profesorem przez parę ładnych lat. Pomagałaś mu zorganizować ten oddział...

- Jestem pewna, że nie zabraknie osób, które znały profesora o wiele lepiej niż ja, więc to one powinny przemawiać nad jego trumną - odparła, po czym szybko zmieniła temat. - Lepiej pójdę zobaczyć, co z naszą symulantką.

- Nikt mi nie wierzy! - poskarżyła się Judith Baker, gdy Madison zaczęła rozbierać ją do badania.

- Chyba wie pani dlaczego, prawda? - odparła Madison chłodno. - Tyle razy nas pani oszukała, że teraz jesteśmy ostrożni. Zawsze upiera się pani, że dolega jej coś poważnego, a po obserwacji, badaniach lub, co gorsza, kolejnej operacji okazuje się, że to tylko wymysł.

- Pani mi nie wierzy! - Judith zaczęła dygotać. - Niech pani mi się przyjrzy! Czy ja wyglądam na kogoś, kto tylko udaje?

Właśnie, czy ona wygląda na kogoś takiego? Madison spojrzała na spłowiałe brązowe włosy z siwymi odrostami, które aż prosiły się o fryzjera, i na spocone czoło kobiety. Pod palcami czuła jej przyspieszony puls, ale nadal nie wiedziała, czy jej wierzyć. Judith Baker wiele razy zgłaszała się z podobnymi objawami. Raz nawet wstrzyknęła sobie insulinę, co omal nie skończyło się dla niej tragicznie.

Była bardzo sprytna, a o szpitalach wiedziała tyle co Madison, albo jeszcze więcej. Umiała wiarygodnie symulować objawy. Znała się na lekach nie gorzej od lekarzy i wiedziała, co zażyć, by wywołać określoną reakcję. Kłamała bez mrugnięcia okiem, a w swoim życiu wezwała więcej karettek niż Madison taksówek. Ostatnio trochę się uspokoiła, ale nie można było mieć pewności, czy nie wraca do swoich starych sztuczek.

Okoliczności przemawiały na jej niekorzyść, lecz Madison miała dziwne przeczucie, że tym razem ból brzucha nie jest wyimaginowany.

- Leki, które przy pani znaleźliśmy, zostały przepisane przez lekarzy z odległych miast - powiedziała, pokazując kobiecie butelki. - Na jakiej podstawie mamy uwierzyć, że tym razem mówi pani prawdę?

- Próbowałam dostać się do jakiegoś lekarza tu, na miejscu, ale nikt nie chciał mnie przyjąć. Bardzo cierpiałam, więc nie miałam wyjścia i musiałam prosić o pomoc tam, gdzie nikt mnie nie zna.

- I znów pani kłamała! - zraniła ją Madison.

- Nie miałam wyjścia! Bałam się, że umrę z bólu - zawodziła Judith, histerycznie podnosząc głos i łapiąc ją za rękę. - Błagam, niech mi pani uwierzy.

- Zostanie pani na obserwacji - powiedziała Madison i zaczęła mierzyć swej pacjentce ciśnienie.

Następnie sprawdziła puls i temperaturę, i zanotowała wyniki w karcie. Temperatura była niższa niż normalna, ale Madison przypomniała sobie, że raz już tak było, gdyż sprytna Judith wepchnęła sobie do ucha воск, by sfalszować odczyt elektronicznego termometru. Innym razem badania krwi wykazały nienaturalnie dużą ilość kofeiny w organizmie, co dawało efekt

skaczącego pulsu. A raz okazało się, że kobieta przykleiła sobie kamienie do pleców, tak by na prześwietleniu wyszło, iż ma atak kolki nerkowej.

- Zaraz zbada panią lekarz. Tylko, proszę, niech pani niczego nie udaje i nie wyolbrzymia! - ostrzegła Madison i wyszedłszy z salki, rozejrzała się po oddziale.

W zasięgu wzroku miała dwóch początkujących lekarzy, których od razy zdyskwalifikowała jako zbyt mało doświadczonych, oraz Guya Boyda uważnie oglądającego prześwietlenie. Było oczywiste, że właśnie jego powinna poprosić o konsultację, lecz długo nie mogła się przemóc, by do niego podejść.

Wstydziała się słabości, której był mimowolnym świadkiem poprzedniego dnia. W ogóle przy tym mężczyźnie czuła się dziwnie bezradna, co dla osoby z silną potrzebą kontroli było trudne do zniesienia.

Tyle że tu chodzi o dobro pacjentki, a Guy był w tej chwili jedynym lekarzem, który mógł pomóc.

- Powiedz mi - powiedział, gdy do niego podeszła - gdzie się ci wszyscy ludzie leczyli, zanim otwarto ten szpital? Aż trudno uwierzyć, że wszystkie łóżka są już zajęte, a my wciąż mamy ręce pełne roboty.

- Tak samo jest w centrach handlowych - zauważyła.

Była zadowolona, że wreszcie mówią sobie po imieniu. Gdyby zwracali się do siebie per pan i pani, jak pierwszego dnia, wyglądałoby to sztucznie.

- W centrach handlowych?

- Tak. Wystarczy, że otworzą jakiś nowy sklep, a po paru dniach ustawiają się gigantyczne kolejki do kasy. Też się wtedy zastanawiam, gdzie ci wszyscy ludzie robili dotąd zakupy. - Roześmiała się, po czym szybko przeszła do sedna. - Czy mógłbyś zbadać teraz pacjentkę?

- Szczerze mówiąc, w tej chwili mam pod opieką pięć osób. - Skrzywił się. - To pilny przypadek?

- Sama nie wiem, czy pilny, ale na pewno trudny - przyznała. - Kiedy pracowałam w poprzednim szpitalu, ta kobieta wracała do nas jak bumerang. Dodam tylko, że zaliczyła wszystkie szpitale w bliższej i dalszej okolicy. Mówi ci coś to nazwisko? - Podsunęła mu kartę.

- Nie. - Pokręcił głową. - Na pewno jej nie znam, chyba że ostatnio leczyła się w Indiach.

- Niewykluczone - odparła w przypiływie wisielczego humoru.

- Czyżbyśmy mieli do czynienia z symulantką?

- Jedną z najlepszych! - odparła, zadowolona, że tak szybko się domyślił.

- Twoim zdaniem teraz też symuluje?

- Nie wiem, aż tak dobrze jej nie znam. Ale czuję, że jest wystraszona. Rozmawiała ze mną tak szczerze, jak nigdy dotąd. Na pewno powinien zbadać ją ktoś doświadczony - stwierdziła, zerkając ponad jego ramieniem na jednego ze stażystów. - Tego chłopca, na przykład, owinęłaby sobie wokół palca - westchnęła.

Ku jej zaskoczeniu Guy uśmiechnął się. I nie był to kpiący uśmiech, który widziała poprzedniego dnia, lecz uśmiech ciepły i łagodny, rozjaśniający jego oczy, dzięki czemu tak odmłodził, że mógł uchodzić za rówieśnika stażystów. Madison zdziwiła się, że zwraca uwagę na takie szczegóły. Ze w ogóle zwraca uwagę na Guya Boyda, który reprezentował typ mężczyzny, którego starała się unikać.

- Dobrze, zbadam ją - zgodził się, biorąc od niej kartę. - Chciałbym, żebyś przy tym była. Znasz tę kobietę, więc szybciej się zorientujesz, czy coś kręci.

- Panie doktorze? - Alanna, która właśnie wróciła z przerwy na kawę, zaczepiła go, zanim zdążyli wejść do sali. Madison od razu zauważyła, że pielęgniarka zapłonęła się jak nastolatka, co z pewnością nie wynikało z faktu, że peszy ją kontakt z kimś wyższym rangą. Przyczyną był raczej nonszalancki urok nowego lekarza. - Proszę wypisać receptę na kolejną dawkę roztworu soli fizjologicznej do kroplówki dla pacjenta z ósemki, dobrze?

- Oczywiście - odparł, biorąc od niej kartę. Madison mogła się założyć, że nawet nie zauważył,

jak silne wrażenie wywarł na Alannie. Domyślała się, że jest przyzwyczajony do takich reakcji. Kobiety z pewnością go kokietowały. I nie dziwiła im się. Dyskretnie obejrzała go od stóp do głów.

Tego dnia nie paradował już w dzinsach; zastąpił je chirurgicznym strojem, który, mimo iż luźny i bezkształtny, pozwalał domyślić się, iż pod spodem kryje się szczupłe, sprężyste ciało. W dodatku pięknie opalone, westchnęła w myślach, patrząc na jego brązowe przedramiona.

- Proszę. - Oddał Alannie kartę. - Niech pani powie pacjentowi, że o nim nie zapomniałem i niedługo do niego zajrzę. No dobrze - uśmiechnął się do Madison - a teraz chodźmy sprawdzić, co słychać u fanki szpitali.

Po chwili stanęli przy jej łóżku.

- Dzień dobry, pani Baker - przywitał się z Judith uprzejmie. - Podobno skarży się pani na ból brzucha.

- To prawda, doktorze! Najgorsze, że nikt nie chce mi pomóc - załkała. - Od czterech dni próbuję...

- Dobrze, skupmy się na sprawach istotnych - przerwał jej zdecydowanym głosem. - Kiedy pojawił się ból?

- W sobotę rano.

- Wymiotowała pani?

- Tak, bardzo często.

- Miała pani podwyższoną temperaturę? - Zerknął do karty, z której wynikało, że temperatura jest za niska.

- Tak, doktorze, miałam bardzo wysoką gorączkę. Powyżej czterdziestu stopni.

- Jak udało się pani dotrzeć do apteki? - zapytał, biorąc do ręki buteleczkę ze środkiem przeciwbólowym.

- Koleżanka mnie zawiozła. Pojechałyśmy do innego miasta, bo tam nikt mnie nie zna. Próbowałam umówić się na wizytę tutaj, ale jestem na czarnej liście.

- Tak? A dlaczego? - spytał z zainteresowaniem.

Madison podziwiała go za sposób, w jaki prowadził rozmowę, pozwalając Judith przedstawić własną wersję.

- Lekarze nie chcą mnie przyjmować, bo wymyślam sobie różne rzeczy. - W oczach kobiety błysnęły łzy bólu, frustracji i upokorzenia.

- Jakie rzeczy, pani Baker? - zapytał takim tonem, jakby było to najbardziej naturalne pytanie.

- Choroby - chlipnęła. - Okłamuję lekarzy, żeby przyjęli mnie do szpitala. - Zamilkła, najwyraźniej czekając na dalsze pytania, a ponieważ żadne nie padło, z własnej woli mówiła dalej: - Przeszłam dziesiątki badań i kilka niepotrzebnych operacji.

- Jak się pani to udało? Ma pani wykształcenie medyczne?

- A skąd! - prychnęła i w tym momencie Madison ujrzała w niej dawną Judith, sprytną manipulatorkę, która nie cofnie się przed niczym, żeby przechytryć personel szpitala. - Po pierwsze, umiem czytać. A po drugie, wbrew temu, co sądzą o mnie lekarze, nie jestem w ciemni bita. Lekarze nie znoszą, kiedy jakiś laik wie tyle co oni. Nienawidzą, jak ktoś wystrychnie ich na dudka.

- To prawda. Ja też tego nie znoszę - przyznał. - Ale przejdźmy do rzeczy. W przeszłości zdarzało się pani symulować ból brzucha, zgadza się? - zapytał, patrząc jej prosto w oczy.

Madison zauważyła, że Judith pierwsza odwróciła wzrok.

- Ale ja już od dawna tego nie robię, doktorze - szepnęła, szcękając zębami.

- A dlaczego?

- Bo już nie mogłam tak żyć. Poszłam do psychiatry i zaczęłam robić porządek z tym bałaganem.

- Jakim bałaganem, pani Baker?

- Tym, który mam w głowie! - Chciała krzyknąć, ale ból powalił ją z powrotem na poduszkę.

- Proszę mi pokazać, w którym miejscu panią boli. Madison podwinęła jej koszulę, odsłaniając ciało przeorane w kilku miejscach szramami - złowrogą pamiątką po zaburzeniu psychicznym zwanym chorobą Miinchausena.

- Wszędzie mnie boli - jęczała Judith, kiedy Guy zaczął naciskać jej brzuch.

Przestał więc to robić i długo osłuchiwał ją stetoskopem, sprawdzając pracę jelit.

- Brała pani jakieś lekarstwa poza tymi? - zapytał, wskazując buteleczki.

- Nie, żadnych. - Nie wyglądał na przekonanego, więc dodała ze skruchą: - Wzięłam coś na przeczyszczenie, bo myślałam, że mi pomoże.

- W porządku. Teraz posłuchamy płuc. Piętnaście minut później badanie dobiegło końca.

Guy okrył Judith kołdrą i zaczął przygotowywać kroplówkę.

- Nic z tego, doktorze - uprzedziła, widząc, że sięgnął po opaskę uciskową.

- Nie da pan rady się wkłuć. Moje żyły są w okropnym stanie, zrostna zroście.

- I po co pani to było? - westchnął, pochylając się nad jej przedramieniem. - Proszę się teraz nie ruszać. Myślę, że jednak mi się udało.

Rzeczywiście!

Madison z podziwu mrugnęła okiem. Doskonale wiedziała, jak kruche są żyły Judith, bo wiele razy próbowała się w nie wkłuć, zwykle bez powodzenia. A Guyowi udało się już za pierwszym razem.

- Afryka. - Uśmiechnął się do niej kątem ust. - Skoro można wbić się w żyłę zagłodzonego wcześniaka, to tym bardziej w żyłę tej pani.

- Dziękuję, doktorze!

- Proszę mi nie dziękować, bo jeszcze nie ma za co. Nie dam pani żadnych środków przeciwbólowych - uprzedził, a widząc, że otwiera usta, ubiegł ją i szybko dodał: - Nie chodzi o to, że pani nie wierzę czy że próbuję panią ukarać. Najpierw musimy ustalić, co pani dolega, a postawienie diagnozy będzie możliwe dopiero wtedy, kiedy zbadają panią chirurdzy.

- Nie będą chcieli! Już dłużej nie zniosę tego bólu.

- Spokojnie, pani Baker. Za chwilę zrobimy pani USG żołądka, a ja osobiście porozmawiam z kolegami z chirurgii. Na razie wprowadzimy pani sondę do żołądka. To taka cienka rurka, którą wkłada się przez nos... - Urwał i wzruszył ramionami. - Zresztą, co ja będę pani opowiadał, przecież pani wie, o co chodzi. Moja wstępna diagnoza jest następująca: ma pani silną obstrukcję, prawdopodobnie wywołaną przez zrosty powstałe na skutek niepotrzebnych operacji, którym pani się poddała.

- Więc tym razem naprawdę jestem chora!

- Tak sędzę, ale oczywiście nie wykluczam, że mnie pani nabiera. Chciałbym jednak coś pani powiedzieć. Skutkiem wszystkich dotychczasowych interwencji chirurgicznych będą poważne problemy zdrowotne, które na pewno nie miną. A wtedy naprawdę będzie pani potrzebowała pomocy. Więc jeśli znów bawi się pani z nami w jakieś gry tylko po to, żeby zwrócić na siebie uwagę, proszę mi o tym natychmiast powiedzieć. Lepiej, żebyśmy oboje wiedzieli, na czym stoimy. Nie chciałbym niepotrzebnie zawracać głowy kolegom, którzy naprawdę są bardzo zajęci.

Madison słuchała go z rosnącym podziwem. Mimo kiepskiej opinii Judith Baker jako pacjentki, traktował ją z szacunkiem i empatią. Nie oceniał, nie strofował, tylko spokojnie dawał jej szansę wyjścia z twarzą z kłopotliwej sytuacji. Madison była pewna, że nawet jeśli Judith znów symuluje, to po tak szczerej rozmowie przyzna się i wreszcie z tym skończy.

- Doktorze, błagam, niech mi pan uwierzy! Ja się w nic nie bawię! Ja cierpię! - szlochała tymczasem Judith.

- W porządku. Wierzę pani. Lecz jeśli okaże się, że mnie pani okłamała, uprzedzam, że następnym razem będę wobec pani bezwzględny.

- Rozumiem.

- Świetnie. Wobec tego rozumiemy się oboje. Ponieważ jest pani ze mną szczerą, zrewanżuję się tym samym. Ja też zdaję sobie sprawę, że chirurdzy nie rzucają wszystkiego, żeby natychmiast panią zbadać.

Wobec tego dam pani małą dawkę morfiny, która na jakiś czas uśmierzy ból.

- Dziękuję, doktorze.

- Wierzysz jej? - zapytał, kiedy poszli po morfinę.

- Tak, tylko co z tego, skoro parę razy wywiodła mnie w pole. Odegrała przede mną rolę godną Oscara.

- Judith Baker! - prychnęła Alanna, kiedy Madison wezwała ją, by zgodnie z procedurą uczestniczyła w pobieraniu morfiny ze szpitalnych zapasów. -

Nasza stara znajoma! Aż dziwne, że zgłosiła się dopiero dziś, a nie w dniu otwarcia. Ciekawe, co tym razem wymyśliła? Pamiętam, że w zeszłym roku trafiła na stół operacyjny zamiast pięcioletniego dziecka z ostrym wyrostkiem. Jej nic nie było, a dzieciakowi wyrostek pękł i niewiele brakowało, a doszłoby do tragedii. I to przez kogo? Przez starą wariatkę!. - zrzędziła.

- Ale co z nią zrobić? - westchnęła Madison, odmierzając dawkę leku. - Przecież to człowiek, w dodatku poważnie chory psychicznie. Wiele razy ją ostrzegałam, że przyjdzie dzień, kiedy naprawdę będzie potrzebowała pomocy, a wtedy wszyscy ją zignorują. Zdaje się, że czarny scenariusz właśnie się sprawdza.

Guy Boyd miał rację - żaden z chirurgów nie spieszył się, by zbadać Judith Baker. Pechowy zbieg okoliczności sprawił, że akurat tego ranka dyżur pełnił ten sam lekarz, który przed rokiem odesłał dziecko z wyrostkiem, bo uznał, że stan Judith wymaga natychmiastowej interwencji. Tym razem nie dał się podejść i kazał jej długo na siebie czekać.

Madison co jakiś czas zaglądała do swojej pacjentki, by zmierzyć jej ciśnienie i temperaturę. Wyniki były jednak coraz gorsze i coraz bardziej niepokojące.

- Wezwij doktora Boy da! - poleciła Alannie, sama zaś wytoczyła łóżko z chorą na korytarz, uznała bowiem, że Judith musi niezwłocznie trafić na oddział.

Po drodze spotkała Guya, który, sądząc po jego minie, nie był zaskoczony takim obrotem spraw.

- Dzwonili do mnie z wynikami USG - wyjaśnił, nakładając Judith maskę tlenową. - W żołądku powstało ognisko zapalne i zebrała się ropa. Grozi jej silny wstrząs septyczny. Alanno, niech pani wezwie chirurgów i powie im, że przypadek jest nagły. Proszę też skontaktować się z siostrą z bloku operacyjnego. Niech natychmiast przygotuje sprzęt do laparoskopii. Pani Baker, niech mnie pani posłucha - zwrócił się bezpośrednio do Judith. - Ma pani silny stan zapalny, więc musimy panią natychmiast operować. Najpierw jednak trzeba podać pani płyny i antybiotyki. Wątpię, żeby udało mi się wkłuć jeszcze raz w żyłę, dlatego założę pani dożycie centralne. Wie pani, co to jest?

- Tak, wenflon założony na szyi - szepnęła, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami, w których czaił się strach.

Prawdopodobnie zaczynało do niej docierać, że tym razem żarty się skończyły i jej stan jest naprawdę poważny.

- Boję się... - wyznała drżącym głosem.

- Proszę być dobrej myśli - uspokoił ją. - Zrobimy, co w naszej mocy, żeby panią z tego wyciągnąć. Wreszcie będzie pani miała prawdziwą okazję, by się przekonać, że jesteśmy świetnymi fachowcami -dodał z ironią.

- Madison, telefon do ciebie! - zawołała Alanna. -Dzwoni koordynatorka pielęgniarek.

- Powiedz jej, że jestem zajęta i że oddzwonię później.

Madison wiedziała, że sytuacja jest opanowana, więc jej obecność przy łóżku Judith jest zbędna. Mimo to wolała być przy niej, niż dyskutować przez telefon o liczbie wolnych łóżek na poszczególnych oddziałach.

- Alanno, proszę zdjąć pacjentce maskę tlenową - poprosił Guy, nie mając pojęcia o wewnętrznych rozterkach Madison.

- Ja to zrobię... - Wyciągnęła rękę, i natychmiast ją cofnęła, zderzywszy się z dłonią koleżanki.

Skonsternowana zerknęła szybko na Guya. Ich spojrzenia spotkały się i w ułamku sekundy powstała między nimi nić instynktownego zrozumienia.

Dla obojga było jasne, że Madison chce zajmować się pacjentami, a nie organizować pracę oddziału.

Madison w żaden sposób nie mogła skoncentrować się na pracy. Za zamkniętymi drzwiami jej pokoju na oddziale huczało jak w ulu. Co chwila odzywał się szpitalny radiowęzeł, podeszwy butów skrzypiały na gumowanej wykładzinie, płakały dzieci i pikały automaty przy kroplówkach, których nie miał kto wyłączyć.

Madison czuła, że powinna pomóc koleżankom, więc zgarnęła swoje papiery i przeniosła się na stanowisko pielęgniarek. Miała szczerzy zamiar odbierać tylko najważniejsze telefony i trochę „pokierować ruchem”, lecz zanim się zorientowała, wydawała leki, podawała baseny, dzwoniła do laboratorium i wykonywała zwykłą czarną robotę.

- Masz dziś wystąpić z krótkim powitalnym przemówieniem na szkoleniu dla nowych pielęgniarek - przypomniała jej Annie z administracji szpitala, próbując jednocześnie wcisnąć jej kolejną porcję jakichś papierów i druków.

- Na szkoleniu? - powtórzyła zaskoczona, nie przerywając instruktażowego pokazu obsługiwanego kroplówki, który zafundowała jednej z uczennic szkoły pielęgniarskiej.

- Tak. Agencja pośrednictwa pracy dla pielęgniarek przysłała nam kilka kandydatek. Każdy oddział musi oddelegować doświadczonego pracownika, który opowie o pracy i wymaganiach wobec personelu.

- Zgłaszam się na ochotnika. Mam sporo do powiedzenia na ten temat - burknął Guy, który nawet nie próbował ukryć, jak bardzo jest wściekły. - Drogie pani, jeśli nie chcą panie usłyszeć paru niecenzuralnych słów, proszę zatkać uszy - oznajmił, pochylając się nad centralną szpitalnej linii telefonicznej. - Nie pozwolę, żeby jakiś żóltodziób rzucał słuchawką albo mnie zbywał. I jeszcze pouczał, żebym zapoznał się z kartą chorobową pacjentki!

- Madison, spóźnisz się. Szkolenie zaczyna się za pięć minut - ponaglała ją Annie.

- Szkolenie wprowadzające dla nowych pielęgniarek? - zainteresowała się Alanna.

- Właśnie - westchnęła Madison. - Przez to nieszczęście z Gerardem i całe to urwanie głowy, które tu mamy od wczoraj, zupełnie o tym zapomniałam.

- Tylko nie bądź dla nich zbyt miła. Niech wiedzą, co je tu czeka. Nikt im nigdy nie powie, jak naprawdę wygląda praca na ratownictwie, a potem wszyscy są rozczarowani. One, bo spodziewały się czegoś innego, i my, bo nie ma z nich wiele pożytku - zżymała się Alanna, lecz w porę uświadomiła sobie, że się zagalopowała. - Przepraszam, niepotrzebnie się wtrącam. W końcu to nie moja sprawa.

- Wręcz przeciwnie. - Madison przyjrzała jej się uważnie. - Słuchaj, a może poszłabyś tam za mnie? Przynajmniej wiesz, co powiedzieć, a ja nawet się nad tym nie zastanawiałam.

- Bardzo chętnie. - Alanna wyraźnie się ucieszyła.

- Tylko nie chciałabym, żebyś pomyślała, że...

- Przecież sama sobie ze wszystkim nie poradzę - zauważyła Madison łagodnie. - Potrzebuję pomocy sprawdzonych i doświadczonych osób. Właśnie takich jak ty, Alanno.

- Nic mnie to nie obchodzi! - wrzasnął do słuchawki Guy, gdy trzecia z kolei rozmowa z oddziałem chirurgii zaczęła się niepotrzebnie przedłużać. - Nieistotne, co ta kobieta zrobiła w przeszłości. Dla mnie liczy się fakt, że jest chora, psychicznie i fizycznie...

Umilkł i dłuższą chwilę słuchał.

- Dobrze, koniec tych bzdur! - przerwał wreszcie swojemu rozmówcy tonem nie znośącym sprzeciwu.

- Pan jest stażystą, a ja od dziesięciu minut pełniącym obowiązki ordynatora, i jako szef nakazuję panu, żeby pan tu natychmiast przyszedł. Za sekundę odłożę słuchawkę i przez radiowęzeł wezwę wszystkich chirurgów

na oddział ratownictwa. Uprzedzam, że jeśli pan się tu zaraz nie pofatyguje, postaram się, żeby wyciągnięto wobec pana surowe konsekwencje - zagroził, po czym zrobił to, co zapowiedział.

Rozłączył się, a potem poprosił operatora szpitalnej centrali, żeby w trybie pilnym zwołał chirurgów.

- Przesadziłem? - zapytał, odkładając słuchawkę.

- Nie - odparła Madison bez wahania. - Najgorsze, że w tej sytuacji nie ma mądrych. Chirurgi mają prawo nie wierzyć w chorobę Judith Baker, a my domagać się, żeby traktowano ją jak każdego innego pacjenta. Ta kobieta jest chora i zasługuje na nasze współczucie. Ma również prawo oczekiwać od nas pomocy medycznej. I nie ma znaczenia, czy jej życie jest naprawdę zagrożone, czy znów próbuje nas oszukać.

- Pięknie powiedziane. To własne czy wyuczone na pamięć? - zażartował, pozwalając sobie na chwilę odprężenia i uśmiechu.

- Własne. Od dawna zastanawiam się, jak postępować z osobami pokroju Judith, i nic mądrzejszego nie przychodzi mi do głowy.

- No proszę, pomogło - zauważył z przekąsem, bo z radiowęzła popłynęła informacja, że wszyscy chirurdzy są pilnie wzywani na oddział ratownictwa. - Dzięki Bogu!

- Mianowali cię ordynatorem? - zagadnęła.

- Tymczasowo. Dowiedziałem się o tym pięć minut temu - wyznał tonem usprawiedliwienia. - Chciałem ci o tym powiedzieć osobiście, ale najpierw musiałem załatwić sprawę z kolegą chirurgiem.

- W porządku, nie mam o to pretensji - stwierdziła, ale on już jej nie słuchał, bo spieszył się do swoich obowiązków. - Gratuluję - mruknęła do jego pleców.

- Madison?

Energiczne pukanie do drzwi było jedynym ostrzeżeniem, że oto nadciąga Guy Boyd.

- Jesteś zajęta?

Pytanie było bezsensowne, bo przecież widział, że Madison siedzi z nosem w papierach i jednocześnie rozmawia przez telefon, próbując załatwić przysłanie dodatkowej pielęgniarki na nocny dyżur. Sprawa była bardzo pilna, więc nie traciła czasu na kurtuazję i na migi pokazała Guyowi, by wszedł i usiadł, sama zaś kontynuowała rozmowę z koleżanką odpowiedzialną za obsadę dyżurów. W każdym razie starała się kontynuować, bo nagle

zorientowała się, że zupełnie straciła wątek, co raczej jej się nie zdarzało, gdyż przyzwyczaiła się, że ciągle ktoś jej przerywa i czegoś od niej chce.

Tym razem jednak miała ewidentny problem nie tylko z koncentracją, lecz nawet z czynnością tak podstawową jak oddychanie. Zła na siebie, starała się zapomnieć o obecności Guya, zignorować zapach jego wody kol ońskiej i jego badawcze spojrzenie. Bez skutku, bo gdy zadzwonił jego pager, wprost nie mogła oderwać oczu od szczupłej, smagłej dłoni, którą zapisywał coś na skrawku papieru.

- Jeśli nie dostaniemy nikogo do pomocy, będziemy musieli odsyłać karetki do innych szpitali - uprzedziła. - Najpóźniej do trzeciej po południu musimy tu mieć jeszcze jedną pielęgniarkę - powiedziała, patrząc wymownie na Guya. - Oczywiście, poinformuję o wszystkim doktora Boyda. Będę wdzięczna za szybką odpowiedź... To była siostra odpowiedzialna za obsadę dyżurów - wyjaśniła, odłożywszy słuchawkę. - Wmawiała mi, że nie może nam przysłać jednej pielęgniarki w miejsce brakujących trzech. Ponieważ masz dziś dyżur, prosiła, żebym poinformowała cię o sytuacji.

- Naprawdę będziemy musieli odsyłać karetki?

- Mam nadzieję, że nie. Być może przyślą nam kogoś koło szóstej, ale zastrzegli, że nie będą płacić za nadgodziny.

- A co mamy robić przez dwie godziny? Przecież dyżur kończy się o czwartej?

- Zostanę dłużej w pracy. - Wzruszyła ramionami.

- Nie musisz wracać do domu?

Zmarszczył czoło, a ją zabolęła aluzja, że zaniedbuje córkę. Na szczęście, zanim doszło do otwartej konfrontacji, Guy taktownie zmienił temat. Przeszedł do spraw zawodowych i zaczął wypytywać o przyczynę problemów kadrowych.

- W czasie weekendu zamieścimy ogłoszenie w brytyjskich gazetach - powiedziała Madison bez entuzjazmu. - Mam nadzieję, że perspektywa pracy w słonecznej Australii wyda się komuś kusząca - dodała, siłąc się na optymizm.

- Jednym słowem obrabujemy Pawła, żeby dać Piotrowi - podsumował. - Przez rok pracowałem w Wielkiej Brytanii i mogę cię zapewnić, że wyspiarze mają identyczne problemy z personelem. Ale nie o tym chciałem rozmawiać...

- Pewnie o Judith? - domyśliła się, ale on zaprzeczył.

- Na szczęście pani Baker wreszcie trafiła na salę operacyjną.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Rozmawiałeś z patologiem. Są wyniki sekcji profesora.

Potwierdził skinieniem głowy.

- Zawiadomiłeś Yvonne Dalton?

- Zrobił to patolog. Ustaliliśmy, że to ona powie ludziom, co było przyczyną śmierci. Uznałem jednak, że ty jako bliska współpracownica Gerarda masz prawo dowiedzieć się wcześniej. Zwłaszcza że próbowałaś uratować mu życie.

- Dziękuję.

- Gerard, lub jeśli wolisz profesor Dalton, doznał bardzo rozległego zawału serca.

Guy przymknął na chwilę oczy. Kiedy znów zaczął mówić, jego głos był nienaturalnie chropawy.

- Nie było dla niego żadnego ratunku.

- Naprawdę nic nie można było zrobić? - zapytała bezradnie. Bardzo chciała to wiedzieć, gdyż dręczyły ją wyrzuty sumienia, że coś przeoczyła, nie sprostała zadaniu.

- Absolutnie nic - zapewnił ją. - Zapytałem patologa, co by się stało, gdybyśmy zdołali reanimować Gerarda. Odpowiedział mi, że musielibyśmy być cudotwórcami, bo przy tak rozległym zawałe po prostu nie ma ratunku.

- Gdyby profesor choć raz poskarżył się na ból w klatce piersiowej... Może wtedy domyśliłabym się...

- Przestań. To naprawdę nie ma sensu. - Ponownie odezwał się jego pager. - Cholera!

- Jakiś problem?

- Tylko taki, że dyrektor generalny nie powinien wywoływać mnie dwukrotnie. Mogę skorzystać z twojego telefonu?

Nie czekając na zgodę, sięgnął po słuchawkę.

- Pogrzeb odbędzie się czwartek o dziesiątej rano - oznajmił, skończywszy rozmowę. - Dyrektor powiedział, że w ceremonii mogą wziąć udział wszyscy pracownicy. Mamy nie martwić się o budżet, bo podobno znajdują się pieniądze na opłacenie zastępstw.

- Chyba pierwszy raz, odkąd pamiętam - odparła z cierpkim uśmiechem. - Cóż, nie wszyscy znali profesora, ale wszyscy chętnie skorzystają z płatnego urlopu. Ja w każdym razie zostanę na oddziale.

- Ty? - zdumiał się. - Nie pójdziesz na pogrzeb?

- Ktoś musi pracować - odparła wymijająco. Uznała jednak, że Guyowi należy się wyjaśnienie.

- Nie lubię pogrzebów.

- A kto lubi! - obruszył się. - Madison, na miłość boską, przecież jesteś oddziałowcą! Musisz być na tym pogrzebie. Wszyscy oczekują, że...

- Ze co? - Zerwała się z krzesła i z całej siły zacisnęła palec na brzegu biurka.

Guy, który nie spodziewał się po niej tak żywiołowej reakcji, cofnął się zaskoczony.

- Wszyscy oczekują, że stanę nad grobem profesora i dyskretnie uroniwszy łzę, powiem w paru zwięzłych słowach, jak wspomniałem był człowiekiem i jak bardzo nam go będzie brakowało...

- Wiem, że profesor był twoim przyjacielem... - Guy nie mógł wyjść z szoku po jej tyradzie, ale nie zamierzał dawać za wygraną. - Był nie tylko twoim przełożonym, lecz przede wszystkim kimś, komu mogłaś zaufać... - mówił spokojnie, z rozwagą dobierając słowa, tak by znaleźć te, które trafią jej do przekonania.

Kluczył tak, dopóki nie pokazała mu gestem dłoni, żeby przestał.

Usiadła ciężko za biurkiem, zdruzgotana faktem, że kolejny raz emocje wymknęły jej się spod kontroli. Żałowała, że nieświadomie odsłoniła przed Guyem nigdy niezabliźnioną ranę w duszy. Najchętniej cofnęłaby czas, ponieważ jednak nie było to możliwe, uznała, że Guy powinien poznać prawdę.

- Tu nie chodzi o profesora - wyznała cicho - tylko o mnie. Wiem, jestem egoistką.

Z każdą sekundą czuła się coraz gorzej. Obawiała się, że jeszcze chwila i wpadnie w histerię. Zamknęła oczy, próbując zapanować nad wzburzeniem, ale wewnętrzny spokój nie przychodził. I gdy była już bliska załamania, poczuła, że Guy bierze ją za rękę. Nie broniła się. Wręcz przeciwnie, była mu wdzięczna, że przy niej jest.

- Ostatni raz byłam na pogrzebie pięć lat temu.

- Mów - zachęcił, podając jej szklanek wody. - Czyj to był pogrzeb?

- Mojego męża. Zabił się na motorze.

- Przykre.

- Emily była wtedy maleńka. - Spojrzała mu w oczy. - Od tamtej pory nie byłam na żadnym pogrzebie. I nie wiem, czy jestem w stanie pójść na cmentarz. Od wczoraj mam straszne wyrzuty sumienia, że zamiast myśleć o profesorze, roztkliwiam się nad sobą...

- Nie musisz brać w tym udziału. Przepraszam za to, co powiedziałem. Plotłem głupstwa.

- Wcale nie.

- Dobrze. Wolisz, żebym powiedział, że gadałem bzdury?

- Nie... - Dopiero teraz uświadomiła sobie, że on cały czas trzyma ją za rękę.

Jego dłoń była sucha i przyjemnie ciepła, jej zaś lodowata i wilgotna, więc natychmiast ją cofnęła. Była mu wdzięczna za to, że przy niej jest i że próbuje żartować, by rozładować atmosferę.

- Muszę wracać na oddział - powiedział, lecz wyraźnie zwlekał z odejściem.

- Posłuchaj, tu się nie da normalnie rozmawiać. Może poszlibyśmy po pracy na drinka? Co ty na to?

- Nie mamy o czym rozmawiać - odparła chłodno, choć w środku aż dygotała z przejęcia.

Już sama myśl o tym, że mieliby się spotkać prywatnie, z dala od dającego poczucie bezpieczeństwa szpitala, napawała ją lękiem.

- A ja myślę, że znalazłoby się parę tematów - stwierdził, patrząc jej prosto w oczy.

Domyśliła się, że nie chodzi mu o profesora, pogrzeby czy pracę, tylko o wzajemną fascynację, która pojawiła się między nimi niemal natychmiast. Nie mogła udawać, że nie czuje erotycznego napięcia, które towarzyszy każdemu ich spotkaniu.

- Chciałbym cię lepiej poznać. Daj spokój, przecież to tylko kolacja...

Nie tylko. Wiedziała o tym aż za dobrze. Wprawdzie Guy bardzo się starał, by w jego propozycji nie było żadnych podtekstów, a dla wzmocnienia efektu dodał nawet niewinne słówko „tylko”, lecz dla obojga i tak było jasne, że proponuje jej randkę.

Przyjrzała mu się uważnie. Miał bardzo ładne włosy, jasne, miękko opadające na czoło, i piękne piwne oczy, które teraz z napięciem śledziły jej reakcję. W pokoju unosił się jego zapach, przyjemny, zmysłowy zapach mężczyzny. Im dłużej na niego patrzyła, tym większą miała ochotę, by się zgodzić. Chociaż raz zapomnieć o rozsądku i pójść za głosem serca. I nagle dotarło do niej, że przecież nie może iść z nim na żadną kolację. To podziałało na nią jak kubeł zimnej wody.

- Chyba zapomniałeś, że mam córkę - powiedziała chłodno. - Nie miałabym jej z kim zostawić. Nie chcę nadużywać uprzejmości mojej koleżanki, która zajmuje się Emily, kiedy jestem w pracy.

Argument był nie do odparcia, więc zadowolona z siebie uznała rozmowę za zakończoną i wróciła do przerwanych zajęć. Ku jej zaskoczeniu Guy nie wychodził.

- Weź ją ze sobą - zaproponował.

Znieruchomiała w połowie składania podpisu. Zaciśnęła zęby i obrzuciwszy go w myślach paroma niewybrednymi epitetami, zmusiła się do uśmiechu.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł.

- Chyba? Czy to oznacza „może”?

- To oznacza „nie”.

- Naprawdę wolisz siedzieć sama w domu i dobijać się myślami o pogrzebie?

- Twoje słowa tylko potwierdzają, że nie masz pojęcia o tym, jak wygląda moje życie - stwierdziła, odkładając długopis. - Prosto z pracy jadę po Emily, potem daję jej kolację, odrabiam z nią lekcje, kąpię ją, przygotowuję dla nas obu ubrania, słucham, jak czyta, a potem sama jej czytam. Kiedy zaśnie, mam pół godziny dla siebie. A potem padam na łóżko, żeby po paru godzinach wstać i zacząć wszystko od nowa!

Opowiedziała mu o tym celowo, tak by raz na zawsze dotarło do niego, w jak trudnej jest sytuacji. Chciała go po prostu zniechęcić, lecz raczej jej się nie udało. Uważała, że po tym, co usłyszał, powinien pożegnać się i wyjść, tymczasem on nadal przed nią stał i czarował ją tym swoim leniwym uśmiechem.

- Podjęłam decyzję - oznajmiła po chwili. - Pójdę.

- Na kolację?

- Na pogrzeb! - obruszyła się, lecz jego niepoprawny optymizm sprawił, że musiała się uśmiechnąć.

- Madison, naprawdę nie musisz być na pogrzebie.

- Ale chcę. Po pierwsze po to, żeby pożegnać profesora, a po drugie, żeby pogrzebać moje własne demony. Trochę się boję, że puszcza mi nerwy i tylko się wygłupię.

- Będę przy tobie - powiedział z naciskiem. - Przez cały czas. Nie zostaniesz sama.

- Poradzę sobie.

- Nie wątpię. Ale nie dam ci okazji, żebyś mogła udowodnić, jak bardzo jesteś dzielna. Jeśli mogę coś ci radzić, to nie zgadzaj się na żadne przemówienie. Po prostu tam bądź. Przyjadę po ciebie o wpół do dziesiątej.

- Przecież nawet nie wiesz, gdzie mieszkam.

- Jako pełniący obowiązki ordynatora dowiem się. tego z łatwością -
oznajmił z rozbrajającym uśmiechem.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Mamusiu, jak zmarli idą do nieba, to dlaczego na pogrzebach ludzie płaczą?

- Bo tęsknią za tymi, których kochali - odparła Madison ze ściśniętym gardłem.

Wolałaby, żeby córka skupiła się na zapinaniu pasa, bo chciała jak szybciej odwieźć ją do szkoły.

W ogóle wolałaby, żeby ten dzień już się skończył.

- A ty tęsknisz za tatą?

Świadoma, że para bystrych oczu obserwuje ją we wstecznym lusterku, powstrzymała grymas niechęci. Odetchnęła głęboko i wolno skinęła głową.

- Oczywiście, że za nim tęsknię. A on na pewno tęskni za tobą.

- A on mnie widzi?

- Tak.

- I wie, że jest mi dobrze?

- Wie - odparła, modląc się, by Emily nie drażyła więcej tego tematu. - Myślę, że jest z ciebie dumny.

- Powinnaś znaleźć sobie chłopaka, mamó. Hej, silnik ci zgasł!

Jak Bóg chce człowieka pokarać, czasem spełnia jego życzenia, pomyślała Madison ponuro i wcisnąwszy sprzęgło, ponownie uruchomiła samochód.

- Ciocia Helen ma nowego chłopaka.

- Tak? A skąd wiesz?

- Richard mi mówił. Ale w tajemnicy, więc nas nie wydaj. Ciocia Helen już nie ma siwawych włosów, tylko jasny blond. A Richard słyszał, jak rozmawiała z kimś przez telefon i mówiła, że w piątek ma randkę i ma nadzieję, że pójdą do jakiejś drogiej restauracji. A on to ma taki sam zawód jak pan Jezus.

- Kto taki, kochanie?

- No, ten nowy chłopak cioci. Jest cieślą.

- W porządku? - usłyszała zamiast powitania. Skinęła głową i szerzej otworzyła drzwi, zaraz jednak wzruszyła bezradnie ramionami.

- Sama nie wiem...

- Zobaczysz, wszystko będzie dobrze - zapewnił Guy, wchodząc do środka.

- Zresztą na wszelki wypadek przygotowałem plan B.

- Plan B?

- Tak. Jeśli poczujesz, że jesteś na skraju załamania, daj mi znak. Będę udawał, że zemdlałem i wtedy wszyscy rzucą się, żeby mnie ratować, a na ciebie nikt nie zwróci uwagi.

- Przestań! - fuknęła, ale na jej ustach pojawił się blady uśmiech. Pierwszy tego okropnego ranka. - Wejdz dalej - zaprosiła go. - Jestem już prawie gotowa.

Jego wysoka sylwetka zdominowała przestrzeń, wywołując złudzenie, jakby hol nagle się skurczył. Madison nigdy dotąd nie widziała Guya w garniturze. Zrobił na niej ogromne wrażenie.

- Masz ładny dom - rzekł z uśmiechem.

Dziękuję - odparła, traktując jego słowa jak zdawkową uprzejmość.

- Mówię poważnie - zaznaczył, rozglądając się dookoła. - Bardzo tu przytulnie. Jak w prawdziwym domu.

- Bo to jest prawdziwy dom! - Roześmiała się nerwowo. - Czego się spodziewałeś?

- Szczerze mówiąc... nie wiem. - Bezradnie wzruszył ramionami. - Chyba nieskazitelnej czystości i idealnego porządku. Tylko nie zrozum mnie źle, nie chodzi o to, że masz tu bałagan - zastrzegł. - Sądząc po tym, jak wygląda twój gabinet i jaka jesteś w pracy, myślałem, że twój dom będzie przypominał laboratorium.

- Przecież tu jest porządek! W każdym razie ja tak uważam. Wczoraj sprzątałam ponad dwie godziny, bo miałeś przyjść. W pracy rzeczywiście muszę mieć wszystko pod kontrolą, ale w domu już nie. Zresztą jak się mieszka z pięciolatką, człowiek błyskawicznie się uczy, że pewne rzeczy trzeba sobie odpuścić.

Nagle wróciła myślą do porannej rozmowy z Emily i z jakiegoś niezrozumiałego powodu zapragnęła mu ją powtórzyć. Posłuchała jednak głosu rozsądku i nie zrobiła tego.

- Napijesz się kawy? Mamy jeszcze mnóstwo czasu.

- A ty masz ochotę na kawę?

- Tak. Wolę denerwować się tutaj niż tam - wyznała i poszła do kuchni.

Guy postanowił dotrzymać jej towarzystwa. Usiadł na ławie i w milczeniu obserwował jej krzątanie. Zwrócił uwagę na nerwowe ruchy jej rąk, gdy sypała kawę do filiżanek, i na kolorowe dziecięce rysunki na lodówce. Kiedy wyjmowała z szafki cukier, mimowolnie przyjrzał się zawartość półek, na których oprócz herbatników i pudełek z płatkami śniadaniowymi stał długi rząd gotowych potraw. Były to pojedyncze porcje przeznaczone do

odgrzewania w kuchence mikrofalowej, takie same jak te, które jadła w szpitalu. Miał przecucie, że poza nimi nie jada niczego innego.

- A jak ty sobie radzisz z tą sytuacją? - zapytała, gdy wróciwszy do pokoju, usiedli na kanapie. - Profesor mówił, że się znaliście. Pracowaliście razem?

- Formalnie tylko raz. Ale w ostatnich latach często się z nim kontaktowałem, telefonicznie albo przez internet. Kiedy jeździłem po świecie w ramach misji medycznych, Gerard był moim doradcą. Nawet nie wiesz, jak bardzo żałuję, że nie było mi dane z nim pracować.

- I właśnie dlatego zdecydowałaś się na pracę w naszym szpitalu? Żeby być bliżej profesora? Bo przecież dla specjalisty z twoim doświadczeniem niewielki podmiejski szpital nie jest żadnym zawodowym wyzwaniem.

- Niezupełnie. Tworzenie szpitala od podstaw to zawsze ciekawe doświadczenie. Uznałem, że coś takiego będzie dobrze wyglądało w życiorysie - odparł. - Choć muszę przyznać, że był i drugi, o wiele bardziej prozaiczny powód. Otóż po latach życia w namiocie i spania pod moskitierą uznałem, że klucze do własnego mieszkania to bardzo kusząca perspektywa.

- Znudziło ci się podróżowanie?

- Chwilowo tak.

A dlaczego wybrałaś Melbourne? Masz tu rodzinę?

- Nie. - Pokręcił głową, bawiąc się pustą filiżanką. Madison wyczuła, że nie ma ochoty rozmawiać

o sprawach prywatnych. Obawiała się, że za chwilę spojrzy na zegarek i powie, iż pora jechać. Mimo to ciekawość wzięła górę.

- A skąd pochodzi twoja rodzina? - zapytała, a widząc, jak Guy nerwowo napina mięśnie, pożałowała swojej ciekawości.

- Mam tylko matkę - odparł z wyraźnym przymusem. - Jest teraz w Indiach. Znowu.

- Aha...

- I znów próbuje „odnaleźć siebie”.

- Aha... - mruknęła mało inteligentnie, gdyż zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć.

Za to Guy stał się bardziej rozmowny.

- Wydawałoby się, że pięćdziesięciodwuletnia kobieta miała w życiu dość czasu, by „odnaleźć siebie”, nie sądzisz? - rzucił cierpko, patrząc jej w oczy.

Madison zdumiała się, słysząc w jego głosie ból.

- Cóż, chyba tak... - odparła ostrożnie. - A czym ona się zajmuje?

- Jest lekarką. Specjalizuje się w chorobach zakaźnych i tropikalnych.

- To dzięki niej zaczęłaś wyjeżdżać na misje?

- Jeżdżę na misje, odkąd skończyłem sześć miesięcy - powiedział, a widząc jej zdumioną minę, wyjaśnił: - Mama angażuje się w to od bardzo dawna. Wiele razy jeździła do Papui-Nowej Gwineii. Zwykle zabierała mnie ze sobą.

- A co ze szkołą?

- Zawsze znalazł się jakiś nauczyciel. Poza tym mieliśmy mnóstwo książek. Moja matka jest bardzo inteligentną osobą, posiada rozległą wiedzę, którą starała się mi przekazać. I chyba z dobrym skutkiem, skoro mając szesnaście lat bez trudu zdałem egzaminy do szkoły w Melbourne.

- Więc nie masz tu żadnych krewnych - podpytywała.

Własne wścibstwo strasznie ją irytowało, lecz Guy tak bardzo pociągał ją i fascynował, że za wszelką cenę chciała się o nim czegoś dowiedzieć. Wyczuwała w nim jakąś niespójność: z jednej strony emanował wewnętrzną siłą i pewnością siebie, z drugiej zaś był wyjątkowo zamknięty. Przede wszystkim jednak budził w niej doznania, których nie doświadczała od lat.

- Nie, nie mam tu nikogo - odparł po długim milczeniu, które dało jej czas na uporządkowanie skłębionych myśli.

Uzmysłowiła sobie, że zależy jej, by został w Melbourne, co było o tyle mało prawdopodobne, że nic go tu nie trzyma.

- Na nas czas - oznajmił, zerknąwszy na zegarek. Madison mogłaby przysiąc, że odetchnął z ulgą, iż i nareszcie może skończyć tę rozmowę, wstać i wyjść.

I Kilka minut zajęły jej ostatnie przygotowania. Włożyła czarne pantofle, po czym stanęła przed lustrem,

I by poprawić makijaż. Guy cierpliwie czekał przy drzwiach. Chyba rozumiał, że jej zabiegi nie wynikają z próżności, lecz z przymusu dopracowania wszystkich szczegółów. Madison bowiem naiwnie sądziła, że jedli zyska pełną kontrolę nad drobiazgami, sprawy większego kalibru też się jakoś ułożą.

- Jesteś gotowa?

Skinęła głową, łykając łzy, które napłynęły jej do oczu. Była tak roztrzęsiona, że ledwie udało jej się włożyć klucz do zamka i o własnych siłach wsiąść do sportowego auta Guya. On też wyraźnie stracił humor, więc krótką drogę do kościoła pokonali w milczeniu.

Przed świątynią stało mnóstwo samochodów i kłębił się tłum żałobników. Prawie wszyscy mieli na oczach ciemne okulary, które nie tylko pomagały ukryć łzy, lecz także chroniły przed ostrym australijskim słońcem. Madison

sięgnęła po swoje do torebki, a gdy je wkładała, mimochodem spojrzęła na rękę Guya i spostrzegła, iż tak mocno ściska kierownicę, że aż zbieleły mu kostki. I nagle przestała myśleć wyłącznie o sobie i swoich lękach, a ze współczuciem pomyślała o tym mężczyźnie, który za chwilę miał pożegnać swego przyjaciela.

- Damy radę - szepnęła, wysiadając z samochodu wprost na spotkanie tłumy dobrze znanych, choć dziś wyjątkowo przygaszonych ludzi.

Madison musiała przyznać, że zniosła pogrzeb profesora o wiele lepiej, niż przypuszczała. Ceremonia była smutna i przygnębiająca, ale w niczym nie przypominała koszmaru, którego tak się bała. Modląc się i śpiewając, myślała o zmarłym przyjacielu, zapominając o własnych bolesnych wspomnieniach. Bardzo pomogła jej obecność Guya, który nie odstępował jej na krok. To on trzymał śpiewnik, gdy wznosili hymny, i to on przewracał w nim kartki. Zatrószył się o wszystkie sprawy przyziemne, dzięki czemu Madison mogła skupić się na sobie. Jego bliskość dawała jej siłę i pomagała odnaleźć wewnętrzną harmonię.

Mimo wcześniejszych obaw ze spokojem wysłuchiwała krótkiej przemowy syna profesora i nawet pozwoliła sobie na lekki uśmiech, gdy przytoczył jakąś anegdotę. Gdy w pewnej chwili zerknęła na Guya, ze zdumieniem spostrzegła łzę toczącą się po jego policzku. Wyczuła, że jest bardzo przybity, więc instynktownie wzięła go za rękę i splótła palce z jego palcami.

- Zaraz mi przejdzie - wyszeptał zduszonym głosem i uściskawszy lekko jej dłoń, wyswobodził rękę. - Zaraz przejdzie - powtórzył, patrząc prosto przed siebie.

- Proszę. - Podał jej kieliszek brandy i przywitawszy się z kilkoma osobami, zaraz do niej wrócił.

Po krótkiej ceremonii pożegnalnej, która odbyła się w szpitalu, zostali zaproszeni przez rodzinę profesora na spotkanie w jego domu. Madison zorientowała się, że Guy nie czuje się tu swobodnie, więc nie była zaskoczona, gdy po godzinie zapytał, czy wypada już wyjść.

- Myślę, że tak - odparła.

- Naprawdę nie masz nic przeciwko temu? - upewnił się. - Nie skończyłaś drinka.

- Wypiłam już dwa, w dodatku na pusty żołądek. Trzeci raczej nie wyszedłby mi na zdrowie.

- Wobec tego chodźmy się pożegnać.

Z niezrozumiałych powodów pożegnanie wypadło jakoś niezręcznie. Madison wiedziała, że nie ma sobie nic do zarzucenia, ale rezerwa, z jaką potraktowała ich wdowa po profesorze, sprawiła, że znów ogarnął ją niepokój.

Wiem, że zrobiła pani wszystko, żeby uratować mojego męża - zapewniła Yvonne. Madison zauważyła, że profesorowa odnosi się do niej o wiele serdeczniej niż do Guya. - Jesteśmy pani za to bardzo wdzięczni.

- Dziękuję. - Madison musnęła policzkiem jej policzek. - Nie potrafię wyrazić, jak bardzo państwu współczuję.

Pożegnawszy się ze wszystkimi, stanęła przy drzwiach, by poczekać na Guya. Sądziła, że jako dobry znajomy rodziny będzie chciał chwilę porozmawiać z wdową i jej dziećmi. Tymczasem on pożegnał się z nimi wyjątkowo szybko i oschle, ograniczając się do paru słów i krótkiego uścisku ręki.

- Czy wszystko...? - chciała zapytać, gdy wsiedli do samochodu.

- Tak, wszystko w porządku - odpowiedział, zanim zdążyła dokończyć pytanie. Mimo to nie udało mu się rozwiązać jej wątpliwości.

- Myślisz, że ona się na nas gniewa? Uważa, że popełniliśmy jakiś błąd? - Z ulgą wypowiedziała na głos pytanie, które od dawna ją nurtowały.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszył ramionami. - Posłuchaj, Yvonne i ja... - Urwał i przez chwilę milczał, jakby szukał właściwych słów. - Ona nie ma do ciebie żadnych pretensji, Madison. Ani ona, ani nikt inny.

- Więc dlaczego była taka sztywna, taka...

- Przecież straciła męża! - zniecierpliwził się, lecz zaraz zmitygował. - Ona ma żal do mnie, a nie do ciebie.

Miała ogromną ochotę poprosić, by jej wyjaśnił tę zagadkę, ale z wyrazu jego twarzy odgadła, że uznał temat za zamknięty. Zamilkła więc, przeczuwając, że tak będzie lepiej. Milczeli przez resztę drogi do jej domu. Madison czuła ulgę, że ma już za sobą to, czego tak bardzo się lękała. Nie chciała jednak rozstawać się jeszcze z Guyem.

- Może wstąpisz na kawę? - zaproponowała nieśmiało.

- Kiepski dziś ze mnie kompan - odparł wymijająco.

- Ze mnie też nie najlepszy. - Uśmiechnęła się. - Możemy posmucić się razem.

Była dopiero druga po południu, sam środek upalnego dnia, więc w domu było strasznie gorąco. Madison natychmiast włączyła klimatyzację i po chwili cichy szmer urządzenia rozproszył męczącą ciszę.

- O której odbierasz Emily ze szkoły? - zapytał Guy, siadając ciężko na kanapie.

- Dziś odbiera ją moja koleżanka. Emily zostanie u niej na kolacji.

Guy nie odezwał się słowem, ale Madison podświadomie wyczuła, że ją potępia. Nie widziała powodu, aby się komukolwiek tłumaczyć, zwłaszcza jemu. A jednak zależało jej na jego opinii.

- Nie myśl sobie, że w opiece nad córką wyręczam się koleżanką - zaznaczyła. - Od dawna wiedziałam, że to będzie wyjątkowo ciężki tydzień, więc ustaliłam z Helen, że Emily będzie zostawała u niej trochę dłużej.

- Przecież ja nic nie powiedziałem! - zachnął się.

- I bardzo dobrze. Ale i tak wiem, co sobie pomyślałeś. Posłuchaj, wychowuję Emily zupełnie sama i uważam, że moim obowiązkiem jako matki jest zapewnienie mojej córce odpowiedniego poziomu życia. To oczywiście oznacza, że muszę dużo pracować, ale uwierz mi, że nie zaniedbuję domu.

- Wiem, a raczej domyślałam się na podstawie tego, co widzę i słyszę... - Wzruszył ramionami. - Zresztą, nie mnie oceniać.

- Fakt, nie tobie - potwierdziła i wyszła do kuchni przygotować kawę.

Obiecała sobie, że nie będzie się przejmowała jego insynuacjami, lecz okazało się, że nie jest w stanie tak po prostu o nich zapomnieć.

Emily była najważniejsza. Zawsze. To dla niej Madison przez pół dnia ślęczała w biurze zamiast zajmować się pacjentami na oddziale. To dla niej postanowiła zostać szefową zespołu pielęgniarek, bo dzięki temu miała wolne weekendy i pracę w stałych godzinach. A Guy co? Czy on w ogóle ma pojęcie, czym jest odpowiedzialność za drugiego człowieka? Nie miał dotąd innych zmartwień, niż żeby nie zapomnieć o wzięciu lekarstwa przeciw malarii. Co taki facet jak on może wiedzieć o kredytach, rachunkach za gaz i lekcjach tańca? Albo o czesnym, książkach do szkoły i milionie innych rzeczy, o których musi pamiętać kobieta?

Cholera, ale upał!

Z ulgą zdjęła żakiet, zastanawiając się przez chwilę, czy wypada paradować przy gościu w samej bluzce na ramiączkach. Szybko jednak się rozgrzeszyła. Przecież przy ponad trzydziestostopniowym upale nie będzie się gotowała w żakiecie na podszewce. I w butach na obcasie. Od razu lepiej, westchnęła, zdjawszy je z nóg. Wzięła tacę z kawą i bosą podreptała do salonu, zamiast jednak wejść do środka, niepewnie stanęła w drzwiach, nie bardzo wiedząc,

jak się zachować. Wprawdzie była u siebie, lecz nagle poczuła się jak intruz. Albo podglądacz.

Guy chyba nie usłyszał, że nadchodzi, bo siedział przygarbiony, z twarzą ukrytą w dłoniach. Wyglądał tak żałośnie, że w pierwszym odruchu miała ochotę podejść do niego i mocno go przytulić. Nie zrobiła tego jednak, tylko na palcach wycofała się do holu, i odczekawszy chwilę, dyskretnie zakasłała, by go uprzedzić, że się zbliża. Gdy ponownie weszła do salonu, Guy siedział wyprostowany i patrzył na nią sztucznie uśmiechnięty.

Przyklękła obok niskiego stolika i zaczęła słodzić kawę, ale ręce trzęsły jej się tak bardzo, że połowa cukru wylądowała na blacie. Nagle przepłynęła przez nią fala gorąca. Natychmiast zorientowała się, że Guy na nią patrzy. I choć była odwrócona plecami, dzięki jakiejś niezwyklej telepatii wszystkimi zmysłami odbierała jego obecność. Gorące powietrze stało się tak gęste, że z trudem wciągała je do płuc.

Przeczuła, że Guy za chwilę jej dotknie. Parę sekund później rzeczywiście położył dłoń na jej karku, a drugą zaczął delikatnie gładzić jej ramiona. Rozsądek podpowiadał, że powinna natychmiast się odsunąć i powiedzieć mu, by przestał. Jednak jakaś nieznana siła trzymała ją w miejscu i nie pozwoliła choćby drgnąć. Bała się ruszyć, bała się nawet oddychać, by jednym niepotrzebnym gestem nie niszczyć magii tej chwili.

Delikatne muśnięcia jego palców rozbudziły ją niczym wymyślna erotyczna pieszczota. Zamknęła oczy, rozkoszując się przyjemnym ciepłem, które płynęło przez nią, powoli ogarniając całe ciało. Bała się, ale nie miała zamiaru walczyć z pożądaniem. Przez lata dusiła je w sobie tak konsekwentnie, iż w końcu zapomniała, że w ogóle istnieje. Teraz te wypierane ze świadomości pragnienia popłynęły jak wezbrana rzeka, która pokona każdą zaporę.

Odwróciła się w stronę Guya i odważnie spojrzała mu w oczy. I nagle znikło napięcie i ogarnął ją błogi spokój. Z radosną niecierpliwością i słodkim lękiem czekała na pierwszy pocałunek, wdychając elektryzujący zapach podniecenia. Nie potrafiła ogarnąć rozumem tego, co się z nią dzieje, i nawet nie chciała zrozumieć. Wystarczyło, że poczuła nieznany smak jego ust, i już wiedziała, że właśnie na to czeka i tego pragnie.

Czekała na te pieszczoty i pocałunki, na niecierpliwe ruchy drżących rąk i warg, na zapach i smak tego mężczyzny. I nie chciała myśleć o tym, że być może jutro oboje będą żałować tego, co się za chwilę wydarzy. Jutro przestało się nagle liczyć. Madison chciała się zatracić, schować się w ramionach Guya i na parę słodkich chwil zapomnieć o tym, co ją boli.

- Madison? - Jego pytanie zawisło w dusznym powietrzu. - Pragnę cię...

- Ja ciebie też... - szepnęła i na dowód, że nie żartuje, przejęła inicjatywę.

Zacząła zdejmować z niego ubranie i całować go, najpierw w usta, a potem w szyję i opalony tors. Kiedy on też zaczął ją rozbierać, poczuła się wolna. I piękna, bo w jego oczach widziała zachwyt. On też ją zachwycił. Jego mocne, jędrne ciało było cudownie gorące i miało podniecający, lekko słony smak. Już od samego patrzenia całkiem straciła głowę.

Naga uklękła przed nim i pijana własnym pożądaniem zachłannie domagała się pieśzcot, gotowa odwzajemnić każdą, nawet najbardziej intymną. Zaskoczona własną odwagą bez oporu pokazywała mu, czego pragnie i bezwstydnie go prowokowała, dotykając wilgotną, rozpaloną dłońią jego męskości. Chciała, by wiedział, że jest gotowa na więcej. Na wszystko.

Guy bezbłędnie odczytywał mowę jej rozbudzonego ciała. W pewnej chwili położył dłonie na jej biodrach i delikatnie posadził ją na sobie. Półprzytomna z rokoszy, wbiła palce w jego ramiona i zaczęła poruszać biodrami, tak by mógł wejść w nią jeszcze głębiej. Ich ciała natychmiast odnalazły wspólny rytm, który szybko doprowadził ich na sam szczyt. Kołysali się złączeni ze sobą, coraz szybciej i szybciej, coraz mocniej nakręcając spiralę rokoszy. Madison pierwsza straciła nad sobą kontrolę. Krew zatętniała jej w skroniach i rozgrzała jej napięte jak struna ciało. Pierwszy skurcz orgazmu przepłynął przez nią jak elektryczny impuls, na moment zapierając jej dech w piersiach, by po chwili pozwolić jej wzlecieć aż do nieba.

Guy chyba czekał na ten moment. Nie pozwolił jej wrócić na ziemię. Gdy przelewając mu się przez ręce, próbowała się do niego przytulić, dał dowód, że to jeszcze nie koniec. Poczuła, jak tężeje w niej i zaczyna mocniej napierać biodrami na jej biodra. Rozkosz, którą dawał jej każdy jego ruch, była tak intensywna, że aż bolesna. Mimo to nie broniła się. Pozwoliła, by zaprowadził ją jeszcze dalej, pokazał, jak wznieść się jeszcze wyżej, jak się kompletnie zapomnieć. Nie panując nad tym, co robi, wpiła paznokcie w jego łopatki i bezwolnie poddała się obezwładniającej rokoszy. Świat wirował i długo nie chciał się zatrzymać.

- Guy? - Jej szept był ledwie słyszalny, ale on ją usłyszał. I na podstawie tonu, jakim wypowiedziała jego imię odgadł, że jest niepewna i skonsternowana.

I że już żałuje tego, co się stało.

- Nie przyjmuj się. Jest dobrze - zapewnił, ale ona gwałtownie pokręciła głową. Nie mogła zdobyć się na to, by na niego spojrzeć. Zmusił ją więc, żeby nie odwracała oczu. - Madison, naprawdę nie ma czego żałować...

- Jest... - mruknęła, niezgrabnie wstając. Odszukała swoje ubrania i chciała jak najszybciej je

włożyć, ale materiał kleił się do wilgotnej skóry.

- Guy, ja mam pięcioletnią córkę. Postąpiłam wyjątkowo lekkomyślnie. Sama nie wiem, co mi się stało. Naprawdę nigdy...

- To się musiało tak skończyć - stwierdził i również zaczął się ubierać. - Chyba nie zaprzeczysz, że od początku coś nas do siebie ciągnie.

- Nic podobnego! - zawołała porywczo. - Wcale nie... - Urwała, zdawszy sobie sprawę z bezsensowności tego, co chciała powiedzieć.

Guy tylko się uśmiechnął.

- Chcesz powiedzieć, że masz zwyczaj kochać się dziko i namiętnie z mężczyznami, którzy w ogóle cię nie pociągają?

Jego dobroduszna ironia sprawiła, że na ustach Madison pojawił się niepewny uśmiech. Wstydziła się jednak tak bardzo, że aby go wysłuchać, musiała zamknąć oczy.

- Nie będę udawał, że mi się nie podobasz ani tym bardziej wmawiał ci, że wcale nie miałem ochoty się z tobą kochać. Powiem tylko, że zupełnie się nie spodziewałem, że to się wydarzy właśnie dziś. W każdym razie nie po to do ciebie przyszedłem. Ja tylko chciałem lepiej cię poznać, trochę się do ciebie zbliżyć.

- Więc dlaczego...? - zapytała bezradnie.

Z każdą chwilą czuła się coraz gorzej. Powoli zaczynało do niej docierać, co zrobiła i jakie mogą być tego konsekwencje. Jednym nieprzemyślanym postępkim zburzyła swój bezpieczny, poukładany świat. Nie dość, że kochała się z mężczyzną, którego prawie nie zna, to jeszcze będzie musiała z nim pracować.

- Cóż, po prostu stało się - odparł Guy spokojnie i ujął jej twarz w dłonie. - Takie rzeczy się zdarzają.

- Nie mnie! - zawołała wzburzona. - Pewnie myślisz, że histeryzuję. W końcu sama chciałam... Chodzi o to, że... - Mocno zacisnęła usta, pilnując, by nie wymknęło jej się ani jedno słowo, którego mogłaby żałować.

Guy położył dłonie na jej ramionach i delikatnie posadził na kanapie.

- Jestem twoim pierwszym kochankiem od śmierci męża?

Potaknęła niechętnie, a on lekko ścisnął jej ramię. Potem popatrzył na łzę, której nie zdążyła zetrzeć, i troskliwie odsunął pasemko wilgotnych włosów, które zasłaniało jej oczy.

- Żałuję, że mi o tym nie powiedziałaś, ale cóż, stało się. Być może sprawy potoczyły się trochę za szybko, ale to wcale nie umniejsza znaczenia tego, co się między nami wydarzyło. Szkoda, że zaczęliśmy od końca - przyznał. - Naprawdę chciałbym lepiej cię poznać.

Słuchała go z takim zdumieniem, jakby zwracał się do niej w egzotycznym języku, którego dopiero zaczęła się uczyć. Na szczęście umiała już rozpoznać znaczenie niektórych słów - ona też chciała go lepiej poznać, być z nim bliżej. Patrząc na jego twarz, zaczynała wierzyć, że z mężczyzną takim jak on może jej się udać. Ze przy odrobinie dobrej woli z obu stron znajdują wspólny język.

Guy musiał wyczuć tę zmianę nastroju i postanowił pójść za ciosem.

- Dziś wieczorem. - Czule wygładził jej włosy. - Dziś wieczorem pójdziemy...

To był fałszywy krok. Dopiero co obudzona nadzieja uleciała z Madison jak powietrze z przekłutego balonika.

- Czy ty w ogóle wiesz, co mówisz, Guy? Może zabierzesz mnie na kolację, do kina albo na rajd po klubach? Czyżbym zapomniała wspomnieć, że nie mam z kim zostawić córki? - Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale nie pozwoliła sobie przerwać. - A może oczekujesz, że pojedę po Emily i powiem jej: wiesz, skarbie, mamusia ma od dziś nowego chłopaka, więc chodź szybciotko do domu, to ci go przedstawię?

- Madison, jesteś...

- Śmieszna? - Pokiwała głową. - Bo to jest śmieszne! Przez chwilę zaczynałam wierzyć, że może nam się udać. Mylisz się, jeśli sądzisz, że nie jestem gotowa na nowy związek, bo ciągle wspominam szczęśliwe chwile, które przeżyłam u boku męża. To nie z szacunku dla jego pamięci nie spałam dotąd z żadnym facetem. I to nie fałszywie pojęty honor nie pozwalał mi szukać wrażeń w barach dla singli. Chcesz wiedzieć, co mnie skutecznie powstrzymywało? Totalny bałagan i chaos, który zostawił mi w spadku mój świętej pamięci małżonek. Wyczołgiwałam się z tego bagna przez pięć długich lat. Nie przeczę, podobasz mi się. I może masz rację, że to, co się między nami wydarzyło, było nieuniknione. Lecz jeśli ci się wydaje, że potrzebuję kwiatów i kolacji przy świecach jako alibi, to jesteś w błędzie. Ja po prostu chcę jak najszybciej o tym zapomnieć.

- I udawać, że do niczego nie doszło? - spytał z niedowierzaniem.

Zdumiewała go ta nagła zmiana nastroju. Nie pojmował, gdzie się podziała ta gorąca, namiętna kobieta, z którą przed chwilą się kochał.

- W porządku, kochaliśmy się ze sobą. - Madison nie zamierzała zmieniać frontu. - Dorosłym ludziom to się zdarza, więc nie ma się czym przejmować.

- Kiepski z ciebie kłamca, Madison. Przecież wiesz równie dobrze jak ja, że nie chodziło tylko o seks! - zirytował się. - Można wiedzieć, dokąd się wybierasz? - zapytał, idąc za nią do kuchni.

- Jadę po moją córkę, Guy!

- Pięć minut chyba cię nie zbawi?

Spojrzała na zegarek i ze zdumieniem stwierdziła, że już jest spóźniona. Właśnie o pięć minut.

- Wyobraź sobie, że zbawi - syknęła, nerwowo wcierając fluid, którym chciała przykryć wypieki na policzkach.

- Wobec tego spotkajmy się jutro - zaproponował.

- Zjemy razem lunch i spokojnie porozmawiamy.

- Przykro mi, ale o tej porze mam wizytę u mojej osobistej trenerki.

- Trenerki? - powtórzył zdumiony.

- Tak, trenerki.

- Przepraszam, a kto to taki? Przez parę ładnych lat siedziałem tam, gdzie diabeł mówi dobranoc, więc powiedz mi, do cholery, co to za trenerka?

- Osobisty trener to ktoś, kto pomaga ludziom ustalać, a potem zrealizować cele - wyjaśniła, recytując z pamięci fragment ulotki, którą przed rokiem znalazła na wycieracze. - Większość ludzi marnuje swój potencjał i idzie przez życie bez precyzyjnego planu. Kerry spotyka się ze mną raz w miesiącu i pomaga mi określić priorytety, a potem ustalić plan działania. Dzięki temu poprawia się moje samopoczucie, emocjonalne i fizyczne.

- Płacisz komuś za to, żeby pomógł ci spełnić marzenia?

- Nie, Guy. Płacę za pomoc w osiągnięciu celów.

- A cóż to za cele, jeśli można zapytać?

- Nie cele, tylko cel. Jeden, za to najważniejszy. Stabilizacja - oznajmiła wolno i wyraźnie, patrząc mu prosto w oczy. - Stabilizacja i bezpieczeństwo dla mojej córki.

- A co z twoimi pragnieniami? - zapytał drwiąco.

- Co robi prawdziwa Madison Walsh, gdy trenerka z zapalem pracuje nad jej finansowym, psychicznym i fizycznym dobrym samopoczuciem? Czy w tej strategii jest miejsce dla kobiety, z którą niedawno się kochałem?

Trafił w sedno, ale Madison miała gotową odpowiedź.

- Uczucia są częścią samopoczucia emocjonalnego. Jeśli chcesz wiedzieć, rozmawiałam z Kerry także o tej sferze mojego życia. Doszłam jednak do wniosku, że zajmę się tym dopiero wtedy, kiedy uporam się z bardziej naglącymi problemami.

Na ustach Guya pojawił się bezlitosny uśmiech.

- Czyli póki co musi nam wystarczyć jeden szybki numerek?

Zagryzła usta. Nie chciała, by wiedział, jak dotkliwie zraniły ją te słowa.

- Obawiam się, że tak - odparła, twardo patrząc mu w oczy. - A teraz chciałabym jechać po Emlii.

- Oczywiście. Już wychodzę. - Chciała minąć go w drzwiach, ale chwycił ją za rękę i przytrzymał. - Pomyśl o nas - poprosił.

- O nas? - wykrztusiła.

- Tak. O nas - powtórzył cierpliwie, tak jakby w ich przypadku istniało jakieś „my”. - Dobrze się zastanów, czego chcesz sobie odmówić.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Miałaś wyjątkowo ciężki tydzień. - Kerry, osobista trenerka Madison, rozsiadła się wygodnie w eleganckim fotelu z granatowej skóry i założyła nogę na nogę. - Ale widzę, że świetnie sobie poradziłaś. - Zerknęła do ankiety i stuknęła piórem w niektóre z zaznaczonych zdań. - Czy zdajesz sobie sprawę, jak wiele osiągnęłaś? Zaczęłaś więcej zarabiać, więc będziesz mogła posłać córkę do lepszej szkoły. Masz własne miejsce na parkingu, dwa razy w tygodniu chodzisz na siłownię, a raz na jakiś czas zabierasz Emily na spacer. Zrealizowałaś wszystkie cele, które sobie wyznaczyłaś.

- Chyba tak.

Madison wyjrzała przez okno na ruchliwą ulicę i natychmiast zauważyła karetkę na sygnale, która zwinnie przedzierała się przez miejski ruch. Podwójne szyby tłumiły dźwięk syreny, ale migające światła i widoczny pośpiech, z jakim kierowca gnał naprzód, świadczyły o tym, że przypadek musi być naprawdę pilny. Madison bardzo chciała wiedzieć, co się wydarzyło i kto za chwilę trafi na jej oddział. Najchętniej od razu by tam pobiegła, musiała jednak dokończyć rozmowę z Kerry.

- Problem w tym - zaczęła, wyraźnie zdekoncentrowana - że ja wcale nie potrzebuję - miejsca na parkingu. Przyjeżdżam do pracy o takiej godzinie, że bez trudu mogę znaleźć wolne miejsce - wyjaśniła zaskoczonej Kerry.

- Rozumiem - odparła trenerka - ale to, że je dostałaś, pokazuje, jak świetnie sobie radzisz. Tak samo zresztą jak fakt, że możesz posłać Emily do szkoły, którą wybrałaś.

- Mam ją tam przenieść, mimo że lubi szkołę, do której teraz chodzi? - Madison była równie zaskoczona własnym niezdecydowaniem jak Kerry. - To chyba nie najlepszy pomysł. Nie wiem, dlaczego tak mi zależało na tamtej szkole.

- Podałaś to jako jeden ze swoich celów - przypomniała Kerry, podsuwając jej pod nos kartkę, na której własnoręcznie wypisała swoje priorytety.

Madison spojrzała na datę i ze zdumieniem zauważyła, że nie dalej jak miesiąc temu bardzo zależało jej na snobistycznej szkole dla córki i dwóch żółtych liniach namalowanych na asfalcie szpitalnego parkingu.

- Widzisz, masz to, czego chciałaś. Powinnaś być z siebie dumna - dodała Kerry.

- Jestem - potwierdziła, chyba tylko po to, by zadowolić trenerkę. Raz jeszcze zerknęła na kartkę i zdrętwiała na samą myśl o tym, co za chwilę usłyszy.

- Tak więc uporządkowałyśmy twoje finanse i zaczęłyśmy pracować nad kondycją fizyczną - podsumowała Kerry. - Ponieważ w obu tych sferach życia wszystko układa się świetnie, pora zająć się uczuciami. Opowiedz mi o swoich celach, które wiążą się z emocjonalną sferą życia. Co widzisz, kiedy próbujesz wyobrazić sobie siebie za rok?

- Widzę, jak po pracy wsiamam do służbowego samochodu stojącego w zarezerwowanym dla mnie sektorze, a potem uiszczam chesne za szkołę, na którą tak naprawdę mnie nie stać, i do której moja córka wcale nie chce chodzić - odparła, a widząc, jak Kerry nerwowo wierci się w fotelu, roześmiała się bezradnie. - Zdaje się, że zmieniły mi się priorytety.

- To normalne. Właśnie dlatego spotykamy się regularnie. - Trenerka wykazała się refleksem. - Życie to łańcuch następujących po sobie zmian. Ale wróćmy do tematu naszego spotkania. Pora zająć się twoimi emocjami i ustalić, czego pragnie Madison Walsh.

- Mam wypisać kolejną listę? - Madison zmarszczyła czoło. - Podać cechy idealnego partnera?

- Niekoniecznie - zastrzegła Kerry. - Wydaje mi się, że na tym etapie życia jeszcze nie musisz mieć stałego partnera. Masz jednak określone emocjonalne potrzeby, które należy zaspokoić. To prawda, jesteś matką. To prawda, intensywnie pracujesz. Ale w tym wszystkim nie wolno ci zapominać o sobie. Proponuję, żebyśmy zaczęły powoli. Może na początek umówisz się ze znajomymi na kawę albo zaprosisz ich do siebie na kolację...

Madison przestała słuchać. Do tej pory pomoc Kerry była nieoceniona. Dzięki spotkaniom z nią zdołała wydobyć się z marazmu i materialnych kłopotów. Nie wyobrażała sobie jednak, że miałyby umieścić przyjaciół i życie towarzyskie na liście celów do osiągnięcia. Zredukowanie emocjonalnej sfery życia do paru punktów wypisanych na kartce wydało jej się niepoważne.

- Kerry, chcę ci powiedzieć, że bardzo mi pomogłaś. Kiedy tu przyszłam po raz pierwszy, czułam się zagubiona i bezradna. Ty dodałaś mi wiary. Dzięki twoim radom schudłam, zaczęłam ćwiczyć, pić mleko sojowe i wreszcie dociągać do pierwszego. Jednak jeśli chodzi o moje uczucia... - Umilkła i jeszcze raz spojrzała na puste miejsce na liście, które czekało, aż je wypełni opisem cech idealnego mężczyzny. Była pewna, że żadne słowa nie są w

stanie wyrazić jej najskrytszych emocjonalnych potrzeb. - Jeśli chodzi o uczucia, to raczej zdam się na opatrność - dokończyła.

- Która przynajmniej nie bierze osiemdziesięciu dolarów za godzinę. - Kerry uśmiechnęła się z przekąsem, ale Madison wiedziała, że zrobiła to szczerze. I po raz pierwszy poczuła do niej prawdziwą sympatię.

- Poznałam kogoś - przyznała po chwili. - Wiem, że nie jest wymarzonym towarzyszem życia, a jednak... Rozsądek podpowiada mi, że to wieczny wół-czega, który nigdzie nie zagrzeje dłużej miejsca. Wczoraj powiedziałam mu, że nasz związek nie ma racji bytu.

- Więc co się zmieniło?

- Poprosił, żebym się zastanowiła. Od wczoraj nic innego nie robię, ale nic mądrego nie przychodzi mi do głowy. - Roześmiała się z przymusem. - Aby uniknąć cierpienia w przyszłości, funduję sobie wyjątkowo bolesną terapię.

Kerry, która dotąd słuchała jej w milczeniu, podniosła nagle głowę i spojrzała jej prosto w oczy.

- Wczoraj rozstałam się z narzeczonym - oznajmiła zniecka. W tej chwili w niczym nie przypominała pewnej siebie profesjonalistki, na jaką dotąd pozowała. - Na papierze był partnerem idealnym. Miał dosłownie wszystko, co podoba mi się w mężczyznach. Naprawdę nie było się do czego przyczepić: czuły, troskliwy, zabawny, przystojny, wykształcony...

- Ale? - Madison uśmiechnęła się zachęcająco.

- Właśnie tego nie wiem - przyznała Kerry. - Nie pojmuję, dlaczego to, co na papierze było bez zarzutu, zupełnie nie sprawdziło się w realnym życiu.

- Proszę. - Madison podała jej wypisany czek.

- Schowaj to. - Kerry machnęła niedbale ręką. - Niech to pójdzie na moje konto.

- Jesteś pewna? Ja naprawdę chętnie ci zapłacę.

- Nie ma o czym mówić. Domyślam się, że nie chcesz się umówić na następną sesję?

- Nie. Ale jeszcze raz dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś.

- Powodzenia! - zawołała za nią Kerry, gdy wychodziła na zalaną słońcem ulicę.

Zmrużyła oczy, gdyż wydało jej się, że świat nagle pojaśniał. Bez trudu odgadła, kto to sprawił. Guy. Początkowo była przerażona tym, co się wydarzyło. Dziś jednak musiała przyznać, że Guy obudził ją do życia. Kochając się z nią, sprawił, że przypomniała sobie, iż wciąż jest młoda, lubi się bawić, czerpać z życia pełnymi garściami. Chwilami czuła się tak, jakby

dzięki niemu wstała z grobu, do którego położyła się razem ze zmarłym mężem. Po raz pierwszy od bardzo dawna nie spieszyła się z powrotem do szpitala. Szła wolnym krokiem, przystając co pewien czas, by powąchać kwiaty i spokojnie zastanowić się nad tym, co do tej pory osiągnęła.

Czuła, że przyszłość wreszcie przestała ją przerażać.

- Posłuchaj, mamy poważny problem! - Annie, wiecznie zafrasowana administratorka oddziału, zerwała się zza biurka, ledwie Madison przestąpiła próg.

- Erka wiezie do nas Jacksona, syna Beth Anderson. Dzieciak dostał w szkole silnego ataku astmy.

- Biedna Beth - westchnęła Madison ze współczuciem. - Rozumiem, że ktoś już ją zawiadomił.

- Doktor Boyd właśnie z nią rozmawia.

- To dobrze. A która z pielęgniarek dyżuruje dziś na reanimacji? - zaczęła Madison energicznie, lecz jej głos szybko stracił moc, bo właśnie przypomniawszy sobie, że dyżurną jest właśnie Beth.

Annie bez słowa pokiwała głową.

- W porządku, zastąpię ją - zdecydowała Madison.

- Żartujesz? Przecież za piętnaście minut zaczynasz szkolenie z bhp - oburzyła się administratorka.

- A o drugiej musisz być na posiedzeniu zarządu. Alanna powiedziała, że zastąpi Beth na reanimacji.

- Nie, ja tam pójde - powtórzyła Madison. - Beth zasłużyła na to, żeby jej dzieckiem zajmowali się ludzie z największym doświadczeniem.

- Przecież ty nie masz czasu! - zaperzyła się Annie, biegnąc za nią korytarzem. - I co ja mam powiedzieć tym, którzy na ciebie czekają?

- Powiedz im, że wypadło mi coś ważnego i musiałam zostać na oddziale.

Na reanimacji szybko odszukała Alannę.

- Zawiadomiłaś pediatrów i anestezjologa? - zapytała.

- Tak, przed chwilą.

- Świetnie. Ja zostanę tutaj, a ty przejmiesz izbę przyjęć - powiedziała.

- Uważasz, że nie poradzę sobie na reanimacji?

- Alanna nie kryła, że poczuła się urażona.

- Nic takiego nie powiedziałam. - Madison nie zamierzała wdawać się w żadne spory. - Wolę, żebyś wróciła tam, gdzie do tej pory dyżurowałaś. Ja nie mam pojęcia, co się dzieje, więc musiałabyś mnie we wszystko wprowadzić, a

na to po prostu nie ma czasu. Jeśli będę potrzebowała pomocy, na pewno po ciebie zadzwonię.

Alanna kiwnęła głową i wciąż nachmurzona wróciła do izby przyjęć. W tej samej chwili przed szpital zajechała rozpędzona erka. Kierowca zahamował z piskiem opon przy samych drzwiach, lecz nie wyłączył syreny ani świateł, co oznaczało, że pacjent jest w stanie zagrożenia życia.

- Jackson Anderson - wysapał zdyszany ratownik, wtoczywszy nosze do środka. - Lat siedem, chroniczna astma. Dostał ataku w czasie lekcji, stan szybko się pogarszał. Kiedy przyjechaliśmy, tracił i odzyskiwał przytomność - relacjonował, podczas gdy Guy i Madison przenosili chłopca na łóżko i podłączali do aparatury.

- To mi wygląda na ostry wstrząs anafilaktyczny - mruknął Guy, osłuchując chłopca. - Beth mówiła, że jest uczulony na orzechy.

- Przecież on by nie wziął orzechów do ust - krzyknęła zrozpaczona Beth. - Wie, że wolno mu jeść tylko to, co sama mu przygotowuję.

- Trzeba mu wstrzyknąć adrenalinę - powiedział Guy, chwilowo ignorując Beth.

- Chcesz, żebym ją stąd zabrała? - zapytała Madison.

- Nie, niech na razie zostanie. Gdzie pediatrzy?

- Zaraz będą.

- Dobrze. Beth, muszę go zaintubować - uprzedził. - Zostaniesz czy wolisz wyjść?

- Zostanę... - szepnęła.

- W takim razie weź go za rękę - polecił - i cały czas mów do niego. Powtarzaj, że wszystko będzie dobrze.

Stan chłopca był jednak naprawdę zły. Jackson miał coraz niższe ciśnienie i coraz mniej tlenu we krwi. Jego serce biło coraz wolniej, a niedotleniony organizm szybko tracił siły. Nie było już czasu, by czekać na anestezjologa. Intubacja stanowiła jedyną szansę.

Guy był spokojny i opanowany, ale gdy usiłował wprowadzić rurkę do spazmatycznie zaciśniętej krtani chłopca, musiał wykonać jakiś błędny ruch i próba się nie powiodła. Nie poddał się jednak, tylko odczekał parę sekund i spróbował jeszcze raz.

- Udało się! - odetchnął i ponownie osłuchiwał chłopca, by sprawdzić, czy drogi oddechowe są już drożne. - Wciąż kiepsko oddycha... - zmartwił się.

- Ale oddycha! - pocieszyła go Madison, z ulgą obserwując, jak rośnie wskaźnik utlenienia krwi.

- Trzeba mu wstrzyknąć adrenalinę - polecił.

Do sali wbiegli lekarze z pediatrii, lecz stan Jack-sona wciąż był zbyt poważny, by mogli przejąć nad nim opiekę. Guy przekazał go kolegom dopiero wtedy, gdy miał pewność, że życie chłopca nie jest już zagrożone.

- Na intensywnej terapii nie mają wolnych łóżek - oznajmiła Madison, która skontaktowała się telefonicznie z siostrą oddziałową. - Może wieczorem coś się zwolni.

- Bo na przykład ktoś umrze - rzucił Guy sarkastycznie.

- Niewykluczone - przyznała.

- W takim razie musimy przewieźć małego do innego szpitala - stwierdził jeden z pediatrów. - Jak myślicie, co będzie lepsze, karetka czy helikopter?

Madison spojrzała na zegarek i szybko przeanalizowała sytuację.

- Helikopter - oświadczyła z przekonaniem.

- Też tak myślę - przytaknął pediatra. - Idę zadzwonić do pogotowia lotniczego.

- Niesamowite! - Guy z niedowierzaniem pokręcił głową. - Po prostu niesamowite!

- Co? - zapytała, gdy pomagał jej przykryć chłopca czystym prześcieradłem i uporządkować salę.

- Helikopter czy karetka! Tak po prostu. Jeszcze się nie przyzwyczailem do takiego komfortu pracy. Wciąż mnie zdumiewa, że mam do wyboru całą listę antybiotyków i że wystarczy jeden telefon, aby lekarz dowolnej specjalności przybiegł na konsultację.

- Ale jesteś z tego zadowolony? - zapytała, zdając sobie sprawę, że pytanie nie należy do najmądrzejszych. Z drugiej strony zdążyła już trochę poznać Guya, wiedziała więc, że lubi działać niezależnie, podejmować wyzwania i pokonywać trudności.

- Tak, oczywiście, że tak. Muszę przyznać, że bardzo mi odpowiadają takie warunki pracy. Naprawdę cieszę się, że pracuję w nowoczesnym szpitalu i wreszcie mogę w spokoju robić dobry użytek ze swojego mózgu.

- Jestem pewna, że wcześniej też go używałaś - uśmiechnęła się. - Pamiętam, jak mówiłaś, że na misjach nie było łatwo, ale jakoś dawałaś sobie radę.

- Tyle że czasem czułem się nie jak lekarz, ale jak pan złota rączka. Wiesz, taki co to umie zrobić coś z niczego. Na przykład inkubator z paru żarówek i rozklekotanego generatora. To dla mnie nowość, że teraz o coś proszę, i za chwilę już to mam.

Uśmiechnął się i spojrzał na chłopca, który po lekach uspokajających spał głęboko, nieświadom, co się z nim dzieje.

- Nawet nie wiesz, synu, jaki z ciebie szczęściarz! - mruknął Guy, odgarniając mu włosy z czoła. - Poszukam Beth i powiem jej, że musimy przewieźć Jacksona do innego szpitala.

- A ja przekażę Jacksona kolegom, którzy zaczynają dyżur. Zaraz wychodzę do domu.

- Jak się czuje Beth? - zapytała Guya jakiś czas później. Właśnie przekazała swej zmiennicze pager oraz klucze do magazynu leków, i była gotowa do wyjścia.

- Kiepsko - odparł przygnębiony. - Powiedziałem jej, że skoro Jackson doznał tak silnej reakcji alergicznej, musi zacząć nosić przy sobie adrenalinę. Biedna Beth jest przerażona. Nie pojmuję, jak szkoła mogła dopuścić do czegoś takiego.

- Przecież to nie wina szkoły, że kolega, z którym siedzi Jackson, akurat miał kanapkę z masłem orzechowym - stwierdziła. - Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak niebezpiecznym alergenem są orzechy. Pomyśl tylko, co musi teraz przeżywać nauczycielka Jacksona albo matka, która dała swojemu dziecku tę nieszczęsną kanapkę?

- Założę się, że nigdy więcej tego nie robi.

- Ja też nie. W życiu nie dam Emily do szkoły kanapki z masłem orzechowym. A teraz muszę już iść.

- Ja też wychodzę. - Stłumił ziewnięcie. - Nie ukrywam, że chwilowo mam dość. Możemy wyjść razem?

Była już w drzwiach i nie widziała go, ale i tak domyśliła się, że podobnie jak ona, wstrzymuje oddech. Odczekała chwilę, a potem się odwróciła i skinęła głową.

- Jasne. Będzie mi miło - powiedziała, w pełni świadoma, że właśnie zrobiła najodważniejszy krok w życiu.

Zaraz też przekonała się, że kiedy Guy mówi "Już wychodzę", oznacza to co najmniej pół godziny. Mniej więcej tyle zajęło mu załatwienie wszystkich spraw i telefonów, które musiał wykonać przed pójściem do domu. Wiedziała, że w tej sytuacji powinna powiedzieć, iż nie może tak długo czekać. A jednak czekała, choć było to dla niej krępujące. Dlatego odetchnęła, gdy wreszcie wyszli ze szpitala.

- Jak się udała wizyta u osobistej trenerki? - zapytał z wyczuwalną ironią w głosie.

- Pogoniłam ją - odparła wesoło. - Kiedy mówię „pogoniłam”, mam na myśli, że podziękowałam jej za dotychczasową pomoc.

- Madison...

- Moja decyzja nie miała żadnego związku z tym, co mi powiedziałeś. Prawda jest taka, że w pewnym momencie życia potrzebowałam właśnie takiej pomocy, jaką mogła zaoferować mi Kerry.

- A teraz? - Ponieważ długo nie odpowiadała, zadał jej jeszcze jedno pytanie: - Czy mógłbym dziś do ciebie przyjść? Tylko żeby porozmawiać. O sprawach, które wczoraj zostawiliśmy niedopowiedziane.

- Dobrze, to niezły pomysł. - Nie wierzyła własnym uszom. Tak po prostu zgodziła się, by do niej przyszedł. - Problem w tym, że dziś to niemożliwe, bo obiecałam koleżance, że zajmę się jej synem.

- A jutro?

- Jutro też bawię się w opiekunkę do dzieci. Chcę się zrewanżować Helen za opiekę nad moją córką. Nie wiem, jak bym sobie bez niej poradziła w tym tygodniu. Poza tym mam wątpliwości, czy to dobry pomysł, żebyś do mnie przychodził. Nie chcę, żeby Emily pomyślała...

Umilkła. Nie miała pojęcia, jak wytłumaczyć mężczyźnie tak beztróskiemu jak Guy, że to, co dla niego jest tylko niewinną kolacją, dla niej może mieć bardzo poważne konsekwencje. Przecież Emily może sobie pomyśleć, że Madison się z nim spotyka, a to przecież jest nieprawda. A z drugiej strony, jak ma zacząć się spotykać, skoro nawet nie chce zaprosić go do siebie na kolację?

- Jeśli chcesz, przyjdę z neseserem - zażartował, a widząc jej zaskoczoną minę, wyjaśnił: - No wiesz, będziemy udawali, że to kolacja służbowa. Zresztą naprawdę chciałbym omówić z tobą parę spraw. Powiesz córce, że wpadnie do was twój kolega z pracy i tak zupełnie przy okazji przyniesie coś do jedzenia, na przykład chińszczyznę, i butelkę dobrego wina.

- Nie ma mowy! Nie możemy...

- Chcesz powiedzieć, że nie możemy zrobić tego na podłodze w twoim salonie? - zapytał ze śmiertelną powagą, którą zachował nawet wtedy, gdy Madison zaczerwieniła się po uszy. Mimo zawstydzenia była mu wdzięczna, że nazwał rzecz po imieniu i potraktował z żartobliwym dystansem.

- Tak, z ust mi to wyjąłeś - odparła, otwierając drzwi samochodu, który po całym dniu na słońcu nagrzał się jak piec. - Poza tym weź pod uwagę, że wolę kuchnię tajską.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Wielkie dzięki! - Helen z wdzięcznością wzięła od niej kieliszek wina. - Nie masz pojęcia, jak się denerwuję.

- Widocznie stres ci służy, bo wyglądasz olśniewająco - zapewniła Madison, spoglądając z uznaniem na fryzurę i strój przyjaciółki, którą z reguły widywała w nieśmiertelnych dzinsach. - No popatrz, ty masz nogi!

- Pewnie że mam! Gładziutkie jak jedwab. I z pomalowanymi paznokciami. Gdybym tylko przestała się tak trząść! Matthew jeszcze sobie pomyśli, że jestem alkoholiczką na odwyku.

- Dziewczyno, czym ty się tak stresujesz? Przecież idziecie na kolację, a ty potrafisz gadać za troje.

- Nie chodzi o gadanie. Przeraza mnie to, co będzie potem - jęknęła Helen. - Wiesz, ta chwila po deserze, kiedy trzeba zdecydować, czy zaprosić go do siebie na kawę czy nie. Czuję się jak dziewczica przed nocą poślubną. Albo jeszcze gorzej! Nie wiem, czy będę wiedziała, jak się zachować, jeśli... No wiesz, jak już będziemy w sypialni... Od tak dawna tego nie robiłam!

- Helen!

- Co? Chyba nie myślisz, że poszłam z nim do I łóżka od razu po pierwszej randce? Za kogo ty mnie masz? Za jakąś lafiryndę? - Była tak przejęta własnymi problemami, że zupełnie nie zwróciła uwagi na to, że Madison jest dziwnie podekscytowana i że jej nie słucha. - Nie chodzi o to, że nie chcę - ciągnęła, dzieląc się z przyjaciółką swymi rozterkami. - Chcę, żeby miał na mnie chrapkę, ale jeszcze nie teraz. Muszę mieć pewność, że on tego naprawdę chce. Rozumiesz coś z tego? - zapytała retorycznie, i nie czekając na odpowiedź, mówiła dalej: - Nigdy bym nie uwierzyła, że będę miała takie opory. I że cała się wydepiluję. Nawet wyszorowałam sobie skórę za uszami, na wypadek, gdyby chciał mnie tam polizać.

- Jej nerwowy śmiech wyrwał Madison z zamyślenia.

- Nie chcę, żeby mnie lizał po uszach, ale trzeba być przygotowanym na wszystko.

- Żeby cię lizał? - Madison desperacko udawała, że słucha, ale sama czuła, że tylko się wygłupia.

- Na przykład. Biorę pod uwagę wszelkie ewentualności - odparła Helen. - Dobrze, koniec z tym. Cały czas gadam o sobie. Wypożyczyłam parę filmów na DVD, więc powinnaś mieć dzieci z głowy.

- Na pewno będą grzeczni - zapewniła ją Madison.

- Wieczorem wpadnie do mnie ktoś ze szpitala, żeby obgadać parę bieżących spraw...

- A kto to? - zapytała Helen obojętnie. Wypiła łyk wina i nagle jakby się obudziła. Na moment zapomniała o swojej randce i przyjrzała się uważnie Madison. - Proszę, proszę. - Uśmiechnęła się domyślnie.

- A coś ty się tak wystroiła!

- Nie przesadzaj! - Madison poruszyła się niespokojnie. - To tylko szorty i T-shirt.

- T-shirt T-shirtowi nierówny. Świetnie wyglądasz.

Mogłabym wyglądać lepiej, pomyślała Madison krytycznie, ale w rzeczywistości była z siebie zadowolona. Miała świeżo umyte włosy, które dzięki koszmarnie drogiej odżywce stały się jedwabiście gładkie. Jeśli zaś chodzi o strój, to był prosty, lecz elegancki, i składał się z szytych na miarę szortów w kolorze kawy i obcisłej bluzki z łódkowym dekoltem.

- Skoro tak się wystroiłaś, to pewnie przyjdzie do ciebie szefowa pielęgniarek - żartowała Helen.

- Nie.

- Nie Shirley? To pewnie Alanna.

- Nie.

- Też nie? Hm, któż więc to może być? Niech pomyślę... Chyba nie ten przystojny nowy lekarz? Wiesz, ten, co to wygląda, jakby przed chwilą wstał z łóżka?

- Przestań się zgrywać! - ucięła Madison. - Guy został ordynatorem, więc chce mnie zapytać o różne ustalenia poczynione przez profesora. Próbowaliśmy omówić to w pracy, ale ciągle coś nam przeszkadzało. To ma być służbowe spotkanie, więc bardzo cię proszę, żebyś sobie nie wyobrażała Bóg wie czego.

- Jak sobie życzysz, skarbie. - Helen zrobiła słodką minę. - No ale na mnie już czas. Za chwilę zacznie się moja „gorączka piątkowej nocy”. Powiedziałam Richardowi, że umówiłam się z dawnym kolegą ze szkoły, więc gdyby pytał, trzymaj się tej wersji. I baw się dobrze na służbowej kolacji!

Madison aż świerbił język, by w rewanżu za drobne złośliwości powiedzieć Helen, że Richard i Emily doskonale wiedzą, dokąd i z kim się wybiera. A skoro wiedzą oni, to wie i pół szkoły. Nie miała jednak serca psuć koleżance nastroju, więc zamiast odpłacić jej pięknym za nadobne, grzecznie odprowadziła ją do drzwi.

- Powodzenia! Helen? - zawołała, gdy ta była już w połowie drogi do swojego domu. Chciała ją zapytać, czy przypadkiem nie popełnia szaleństwa, zapraszając Guya, i czy nie robi największego w życiu błędu. W ostatniej chwili zabrakło jej odwagi, więc tylko pomachała Helen na do widzenia. Koleżanka знаła ją jednak na tyle dobrze, że bez trudu domyśliła się, co ją trapi.

- Powodzenia, Madison! - zawołała. - Zobaczysz, wszystko będzie dobrze! Dasz radę!

Wkrótce przekonała się, że Helen miała rację.

Kiedy otwierała Guyowi drzwi, była nieprzytomna ze zdenerwowania. Nie pojmowała, jak mogła być tak głupia, by zgodzić się na to spotkanie. Bała się, że nie będzie miała o czym z nim rozmawiać, albo że Emily nie zaakceptuje pojawienia się w domu obcego mężczyzny. Na szczęście wystarczyło jedno spojrzenie na uśmiechniętego i swym zwyczajem ubranego na luzie Guya, i niepokój minął.

Przyniósł tyle jedzenia, że starczyłoby dla całej armii. Madison natychmiast zajęła się nakrywaniem do stołu, ciesząc się, że ma czym zająć drżące ręce. Po chwili do kuchni zajrzeli Emily i Richard, zwabieni odgłosami rozmowy.

- Dobry wieczór. - Emily podejrzliwie przyjrzała się niespodziewanemu gościowi. - A kim pan jest?

- Mam na imię Guy. A ty pewnie jesteś Emily?

Nie odpowiedziała. Podeszła trochę bliżej, i położywszy ręce na biodrach, mierzyła go długim, czujnym spojrzeniem. Guy domyślił się, że dziewczynka czeka na wyjaśnienia.

- Jestem lekarzem i pracuję w szpitalu razem z twoją mamą. Przyszedłem porozmawiać z nią o ważnych sprawach.

- Zawodowych? - zapytała z komiczną powagą.

- Tak. Przy okazji kupiłem różne smaczne rzeczy. Spróbujesz?

- Ble! Nie lubię jedzenia, które cuchnie - skrzywiła się, patrząc z odrazą na zielone tajskie curry, które Madison właśnie wykladała na talerz.

- Szkoda, bo w ten sposób eliminujesz mnóstwo pysznych rzeczy. A co lubisz?

- Tuńczyka - odparła, pokazując szczerbaty uśmiech. - Ale on to dopiero brzydko pachnie!

- Za to jest zdrowy, więc można mu wybaczyć nieładny zapach. Może jednak spróbujesz curry? - zachęcał Guy.

Madison z niedowierzaniem obserwowała, jak po chwili namysłu jej wybredna córka sięga po widelec.

- To jest takie... - Słownik pięciolatki okazał się zbyt ubogi, by Emily mogła opisać swoje doznania imakowe. Zamiast więc mówić, po prostu włożyła do buzi jeszcze jedną porcję. - Bardzo smaczne - pochwaliła. - Trochę piecze w język, ale może być. Mamusiu, zrobisz mi to kiedyś na kolację?

- Oczywiście - odparła Madison, choć wolałaby, by jej córka miała mniej wyrafinowany, a co za tym idzie, mniej kosztowny gust kulinarny.

- Emily, no chodź już! - Richard, który zaczynał się nudzić, postanowił ponaglić koleżankę. - Przecież mamy oglądać film, zapomniałaś?

- Będziecie oglądali film? - wtrącił Guy. - Wobec tego mam coś dla was - powiedział, podając Emily jedną z torebek.

- Popcorn? - domyśliła się Madison, widząc rozradowane miny dzieci. - Każdy pięciolatek oddałby za to duszę

Kiedy dzieci pobiegły z powrotem do salonu, usiedli do stołu. Jedzenie było wysmienite, spraw do omówienia mnóstwo, więc ani razu nie zapadła krępująca cisza. Początkowo trzymali się bezpiecznych tematów, rozmawiając głównie o pracy i kolegach ze szpitala. I dopiero gdy skończyli posiłek, Madison zdobyła się na odwagę, by powiedzieć to, co leżało jej na sercu:

- Jeśli chodzi o wczoraj...

- Błagam, nie mów, że ci przykro. Nie deprecjonuj tego, mówiąc, że żałujesz...

- Wcale nie żałuję! - Śmiało spojrzała mu w oczy. - Jestem zażenowana, zawstydzona i zdumiona, że tak łatwo straciłam głowę...

- Nie rób sobie z tego powodu wyrzutów. Domyślam się, że takie zachowanie nie jest w twoim stylu. Jeśli cię to pociesza, w moim też nie.

- Naprawdę? - Uniosła brwi. - A ja myślałam, że nie brakowało pielęgniarek, które chętnie spędziłyby parną tropikalną noc pod twoją moskitierą.

- Nie wiem, skąd u ciebie taka romantyczna wizja mojego życia. Praca na wyjazdach to nie zabawa. Bywa tak ciężka, że pod koniec dnia człowiek nie ma na nic siły ani ochoty. Nie zamierzam udawać świętego, miałem parę romansów, ale uwierz mi, że misje medyczne to nie są luksusowe wakacje dla ludzi szukających wrażeń.

- Wiem. - Wzruszyła ramionami. - Po prostu boję się - namyślała się chwilę, wodząc palcem po krawędzi kieliszka - że niepotrzebnie wprowadziłam cię w błąd, że pomyślałeś, że szukam stałego związku...

- Nawet jeśli wprowadziłaś mnie w błąd, warto było dać się oszukać - odparł żartobliwie, zaraz jednak spoważniał, gdyż zorientował się, że Madison chce mu powiedzieć coś ważnego.

- Kiedy ludzie dowiadują się, że kobieta jest wdową - zaczęła, zamknawszy przedtem drzwi do salonu - z góry zakładają, że była szczęśliwa w małżeństwie i z jakiegoś niezrozumiałego powodu traktują ją jak zakonnice. Tymczasem jeśli mówię, że po tym, co się między nami wydarzyło, mam wyrzuty sumienia, to wcale nie wynikają one ze źle pojętej lojalności wobec zmarłego męża. Mark i ja nie byliśmy dobrym małżeństwem. Mieliśmy poważne problemy - wyznała.

- Z mojej strony to była miłość od pierwszego wejrzenia. Byłam tak zaślepiona, że nie słuchałam rodziców, którzy od początku mówili, że Mark jest nieodpowiedzialny i że nie będę miała w nim oparcia. Po sześciu miesiącach znajomości wyszłam za niego za mąż. I zaraz potem zaszłam w ciążę.

Odetchnęła głęboko.

- Bardzo szybko przekonałam się, że rodzice mieli rację. Na Marku rzeczywiście nie można było polegać. Kochał Emily, ale chyba nie docierało do niego, że dziecko oznacza wyrzeczenia. Nadal spotykał się z kolegami, zanikał z domu, wydawał mnóstwo pieniędzy na motory i inne przyjemności. Dwa dni przed jego śmiercią postanowiłam od niego odejść. Kiedy zginął, okazało się, że „zapomniał” ubezpieczyć siebie i motocykl. I „zapomniał” mi powiedzieć, że sfalszował mój podpis na dokumentach, żeby zastawić nasz dom.

- Paskudna sprawa - westchnął Guy, instynktownie biorąc ją za rękę. Natychmiast ją cofnęła, bo choć bardzo potrzebowała takiego wsparcia, nie zapomniała, że w domu jest Emily.

- Moje życie się zawaliło. Musiało minąć kilka lat, nim zdążyłam je z powrotem poskładać. Byłam jednak zdeterminowana, bo chciałam, żeby Emily miała normalny dom i poczucie bezpieczeństwa.

- I udało ci się to osiągnąć. Nie znam twojej córki, ale z tego, co widzę, sprawia wrażenie pewnej siebie.

- I taka jest. Jedyne problem polega na tym, że jest bardzo podobna do ojca. Tak bardzo, iż czasem się o nią martwię.

- Dlaczego?

- No wiesz, takie typowe matczyne lęki. Boję się, że będzie zbuntowaną nastolatką, że rzuci szkołę, przekłuje sobie język albo coś innego, i dołączy do młodzieżowego gangu... - Urwała, gdyż Guy zrobił to, czego robić absolutnie nie powinien: zaczął się śmiać z jej obaw. Na szczęście nie było w tym cienia drwiny, więc Madison najpierw tylko się uśmiechnęła, a potem też zaczęła śmiać się z samej siebie.

- Emily na dopiero pięć lat - przypomniał, stukając kieliszkiem w jej kieliszek. - Nie ma sensu martwić się na zapas. A to, kto i co z niej wyrośnie, w dużym stopniu zależy od ciebie.

- Myślisz, że o tym nie wiem!

- Pociesz się, że wszyscy rodzice mają takie troski. Nawet ci, których spotykałem w najodleglejszych zakątkach świata. Moim zdaniem w tej chwili powinnaś zatroszczyć się o kogoś innego - powiedział miękko, a ona domyśliła się, co zaraz usłyszy. - Myśl o sobie, Madison.

- Niczego mi nie brakuje.

- Tak? A kiedy ostatnio wychodziłaś gdzieś wieczorem?

- Już ci mówiłam, że nie czuję się jeszcze gotowa na takie rzeczy.

- Pozwolisz mi dokończyć? - zapytał łagodnie. - Pamiętasz, kiedy ostatnio byłaś w kinie na filmie, który nie był kreskówką? Albo kiedy ostatnio umówiłaś się z koleżankami na babski wieczór?

- Wieki temu - przyznała. - Ostatnio nawet postanowiłam, że spróbuję ruszyć się z domu. Nie ukrywam, że brakuje mi towarzystwa. Tylko najpierw muszę znaleźć dobrą opiekunkę do dzieci.

- Świetnie. Powiedz, mam szansę znaleźć się w gronie wybrańców, z którymi będziesz chciała spędzać czas?

- Szczerze mówiąc, miałam na myśli spotkania z koleżankami - przyznała. - Na razie nie biorę pod uwagę związku z mężczyzną. Nie chcę rujnować tego, co z takim trudem zbudowałam.

- A kto mówi o rujnowaniu? - Spojrzał na nią pytająco. - Nie przyszło ci do głowy, że twoje życie może stać się jeszcze pełniejsze i lepsze?

Wzruszyła ramionami.

- Wolę nie ryzykować - stwierdziła. - Przecież mam małe dziecko.

- I z tego powodu wykreślisz mężczyzn z życia?! Z nikim się nie zwiążesz?

- Nie. Przynajmniej na razie - odparła szczerze, ignorując jego powątpiewający ton. - Nie mogę dopuścić do tego, żeby przez mój dom przewijali się różni mężczyźni. To nie byłoby dobre dla Emily, nie pozostaje

mi więc nic innego, jak czekać, aż spotkam tego jedyne - powiedziała, siłąc się na lżejszy ton.

- A jeśli właśnie go spotkałaś? - zapytał. Spojrzała na niego zaskoczona, gdyż nawet przez sekundę nie przypuszczała, że może myśleć o niej tak poważnie, jak ona o nim.

- Nie potrafię racjonalnie wytłumaczyć tego, co nam się przydarzyło - przyznał. - Prawdę mówiąc, gdybym miał opisać, jakiej partnerki szukam, samotna matka z zaawansowaną nerwicą natręctw raczej nie znalazłaby się na mojej liście.

- Tak jak na mojej nie byłoby miejsca dla Jasia Wędrowniczka - odparowała. - Teraz już wiesz, dlaczego nie ma sensu brnąć w to dalej?

- Nie - odparł bez wahania. - Wiem natomiast, że nie wolno nam się spieszyć. Dlatego teraz wstanę, powiem grzecznie dobranoc i pójdę do domu. Masz jutro czas?

- Emily idzie na balet. O dziewiątej rano.

- Wobec tego zjedzmy razem śniadanie. Co ty na to? Powiesz Emily, że jedziesz po zakupy. Albo w ogóle nic jej nie mów. Gdzie się spotkamy?

W jego ustach zabrzmiało to tak bezpośrednio, że niewiele myśląc, dała się przekonać.

- Obiecuję, że nie będę się narzucał. Emily nawet się nie zorientuje, że się spotykamy. Możemy zacząć od tego, że raz w tygodniu zjemy razem śniadanie. A jak znajdziesz opiekunkę, raz na jakiś czas wyskoczymy gdzieś wieczorem.

- Ale jutro umawiamy się tylko na śniadanie?

- Tak. Emily nie będzie miała pojęcia, że się widzieliśmy.

Nie potrafiła wyrazić, jak bardzo jest mu wdzięczna za zrozumienie, które jej okazał. Doskonale wiedziała, że chętnie zostałby z nią na noc. A jednak gotów był zapomnieć o swoich pragnieniach. Nagle obudziła się w niej słabiutka wiara, że być może istnieje dla nich jakaś przyszłość. Może Guy miał rację, mówiąc, że właśnie spotkała mężczyznę, któremu może zaufać.

- Znam przyjemną kawiarenkę przy głównej ulicy. Mogę tam być parę minut po dziewiątej.

- Wobec tego jesteśmy umówieni - powiedział, wstając.

Ruszył do drzwi, lecz zanim wyszedł, przytulił ją do siebie i pocałował; najpierw delikatnie w czoło, a potem namiętnie w usta. I tym jednym pocałunkiem uciszył pytania i rozwiązał nękające ją wątpliwości.

Gdy wyszedł, dotknęła dłonią warg, wyobrażając sobie, że Guy wciąż z nią jest i że czuje jego usta.

- Mamo, a gdzie jest ten pan? - zapytała zniecierpliwiona Emily. Madison nawet nie usłyszała, kiedy córka weszła do holu. - Chcę go poczęstować popcornem.

- Właśnie wyszedł, skarbie. Wy też musicie już kłaść się spać.

- Jeszcze pięć minut! Obiecuję, że będziemy grzeczni.

- Dobrze, ale ani minuty dłużej - ostrzegła ją Madison.

Emily już biegła do pokoju, ale nagle przystanęła i odwróciwszy się, spojrzała na nią oczami dziecka, które rozumie o wiele więcej, niż można by sądzić.

- Lubię go - oznajmiła, patrząc jej prosto w oczy. - I myślę, mamusiu, że ty też go lubisz.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Ale gdzie ty jedziesz, mamó? - zdziwiła się Emily, nienawykła do żadnych odstępstw od ustalonego planu. - Przecież zawsze patrzysz, jak tańczę.

- Tak, skarbie, ale dziś muszę jechać po zakupy. Wrócę po ciebie za półtorej godziny.

Madison z każdą chwilą robiła się bardziej spięta. Tylko czekała, aż Emily zacznie się złościć. Już sobie wyobrażała, jak pociesza zapłakaną córkę i dzwoni do Guya, by uprzedzić, że nie przyjdzie. Ku jej zaskoczeniu czarny scenariusz się nie sprawdził. Emily uznała jej tłumaczenia za wystarczające; spokojnie pocałowała ją w policzek i pobiegła do grupy dziewczynek ubranych w różowe trykoty i baletowe spódniczki.

Madison musiała pogodzić się ze smutną prawdą, że zmiana planu nie zrobiła na jej córce większego wrażenia. Tym gorzej dla mnie, pomyślała z goryczą, nie miała już bowiem pretekstu, by nie spotkać się z Guyem.

- Szczerze mówiąc, byłem pewny, że zadzwonisz i odwołasz to spotkanie - przyznał, wskazując komórkę leżącą na stoliku.

- Ja też byłem pewna, że tak się to skończy. - Usiadła i wzięła menu od kelnerki. - Nie świadczy to o mnie najlepiej jako o matce, ale po cichu liczyłam na to, że Emily rozplacze się i będzie mnie błagała, żebym nigdzie nie szła.

- A ona nic?

- Nic.

- Tym lepiej dla mnie. Powiedz, na co masz ochotę? Oczywiście poza tym, o czym oboje w tej chwili myślimy.

- Guy! - Madison zaczerwieniła się i wbiła wzrok w kartę. - Poproszę naleśniki z syropem klonowym i bekon.

- Madison Walsh! - zawołał z udawanym oburzeniem. - Zapomniałaś o kaloriach?

- Czego chcesz? Lubię jeść.

- A co ze zdrowym jedzeniem, które trzymasz w szafce?

- Jem je nie dlatego, że jest zdrowe, tylko dlatego, że można je szybko odgrzać - odparła zaskoczona, że Guy zwraca uwagę na takie rzeczy. - Nie chce mi się gotować wymyślnych dań tylko dla siebie, zwłaszcza że Emily chce w kółko jeść to samo: mięsko i jarzynki. A tak swoją drogą szybko wyrobiłeś sobie o mnie zdanie.

- Wręcz przeciwnie - odparł z powagą. - Za każdym razem, kiedy mi się zdaje, że już cię trochę znam, zaskakujesz mnie czymś nowym. Jesteś zupełnie inna, niż początkowo sądziłem.

- A myślałeś, że jaka jestem?

- Sztywna i strasznie spięta. - Uśmiechnął się przekornie. - Ale i tak bardzo mi się podobałaś.

- A teraz co o mnie myślisz?

- Że jesteś sztywna i strasznie spięta, ale masz spory potencjał. I że przy tym wszystkim jeszcze bardziej mi się podobasz.

Muszą tu mieć wyjątkowo smaczne jedzenie, pomyślała Madison jakiś czas potem, zerkając na swój pusty talerz. I chyba tej nocy poprzestawiali zegary, bo godzina minęła jak z bicza strzelił. Spędzili ją, śmiejąc się i rozmawiając o wszystkich tych mało ważnych drobiazgach, które na początku romansu mają ogromne znaczenie. Na przykład o tym, że Guy słodzi kawę, używa mnóstwo pieprzu i soli, jest spod znaku Barana i tak samo jak Madison uwielbia godzinami moczyć się w wannie.

- I czytać czasopisma - dodał. - Im głupsze, tym lepiej. - Spostrzegł, że Madison z zalem spogląda na zegarek, więc skinął na kelnerkę. - Koniec lekcji tańca?

- Niestety. - Z westchnieniem sięgnęła po torebkę. - Jeśli wyjdę teraz, zdążę na ostatnie pięć minut.

- Więc chodźmy. Dasz się namówić, żebyśmy spotkali się tu znowu, na przykład za tydzień?

- Tak, chętnie to powtórzę!

Obydwoje czekali na taką odpowiedź. Guy nie potrafił ukryć radości; śmiejąc się, przytulił ją mocno i zasypał pocałunkami. A ona nawet nie próbowała się bronić. W pewnej chwili przemknęło jej przez myśl, że zachowuje się jak nastolatka. W ramionach Guya zapomniała o bożym świecie. Nie obchodziło jej, że stoją na środku ruchliwej ulicy, że mijają ich dziesiątki przechodniów, wśród których mogą być rodzice szkolnych koleżanek i kolegów Emily. Zamiast martwić się, że ktoś ją zobaczy, z pasją oddawała pocałunki. Zapomniała o wszystkim; nawet o tym, że musi oddychać. Oprzytomniała dopiero wtedy, gdy Guy przestał ją całować. I choć minęła zaledwie sekunda, już tęskniła za nim i martwiła się, jak przeżyje tydzień do następnego spotkania.

Dostała od niego tak wiele, to jemu zawdzięczała swoje przebudzenie. Dzięki niemu ocknęła się z letargu i poczuła, że narodziła się na nowo. To on

sprawił, że znów poczuła się kobietą, przypomniawszy sobie, że ma marzenia i pragnienia, że brakuje jej mężczyzny.

Teraz stała przed nim na zalanej słońcem ulicy i próbowała wysondować, czy jest już gotowa zaprosić go do swego życia. On chyba rozumiał, że właśnie ważą się ich losy. I czekał cierpliwie, dając jej czas do namysłu. Do niczego jej nie namawiał, nie przekonywał, nie składał żadnych deklaracji. Po prostu przy niej był. I zdawał się na jej decyzję.

Szala wagi, która mocno przechylała się na jego korzyść, nagle zmieniła położenie. Wystarczyło jedno niepotrzebne wspomnienie o byłym mężu, i Madison zaczęła tracić wiarę w sens budowania nowego związku. Zwątpiła, że zdoła zaufać mężczyźnie, nawet takiemu jak Guy.

On jednak potrafił czytać w niej jak w otwartej księdze. Od razu spostrzegł zmianę, która w niej zaszła. I wiedział, jak z nią postępować i jak rozwiązać jej niepokoje. Jeszcze raz przytulił ją do siebie i mocno objął ramionami.

- Nie musimy się z niczym spieszyć - szepnął wprost do jej ucha. Jego łagodny głos zagłuszył miejski gwar, dając jej złudne poczucie, że na świecie są tylko oni dwoje. - Mamy czas, Madison. Mnóstwo czasu. Ja już się nigdzie nie wybieram.

To właśnie chciała usłyszeć. Szala wagi znów przechyliła się na jego korzyść, a w niej zapaliła się iskierka nadziei na wspólną przyszłość.

- Emily jedzie w środę do rodziców Marka i będzie u nich nocowała - powiedziała w wahaniem. - Może wpadniesz do mnie, zjemy kolację. Coś dla nas ugotuję... - Poczowała, że przytulił ją jeszcze mocniej.

- Ja wszystko zorganizuję - mruknął. - I zapomnij o gotowaniu.

Kiedy się wreszcie rozstali, była tak oszołomiona, że aż dostała zawrotów głowy. Jak na skrzydłach pobiegła do szkoły tańca, w której właśnie kończyła się lekcja. Zdyszana wpadła do sali w chwili, gdy dwadzieścia dziewczynek wykonywało wdzięczny ukłon.

Boże, wszyscy na pewno wiedzą, pomyślała spłoszona, przemykając chyłkiem między grupkami rozgadanych mam. One na pewno widziały, jak całowała się z Guyem na środku ulicy.

W rzeczywistości nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Nikt nawet nie spojrzął, gdy rozdygotana i zasapana odnalazła Emily, która już zaczęła się przebierać. Widząc matkę, uśmiechnęła się i spokojnie zdjęła baletki, zupełnie ignorując fakt, że Madison spóźniła się o całe piętnaście sekund.

- Cześć, mammo! - przywitała ją radośnie. Naraz ściągnęła brwi i przyjrzała jej się tak podejrzliwie, że Madison struchlała. - Co kupiłaś?

Madison spojrzała na nią pytająco.

- Nie masz żadnych toreb - wyjaśniła dziewczynka. - A mówiłaś, że idziesz po zakupy.

- Nic nie kupiłam, kochanie. Oglądałam wystawy.

- A po co?

- Tak dla przyjemności - odparła, lecz nagle uzmysłowiła sobie, że jej córeczka nie zrozumie takiego wyjaśnienia. Nie zrozumie, bo po prostu nie wie, że istnieją rzeczy, które robi się właśnie dla przyjemności, a nie z obowiązku.

Kiedy tak patrzyła na jej dziecięcą buzię, dotarła do niej bolesna prawda o niej samej. O tym, że zajęta przyziemnymi sprawami, które wtedy wydawały jej się najważniejsze na świecie, zabiła w sobie całą spontaniczność i radość życia. Pochłonięta zdobywaniem pieniędzy, za które chciała kupić Emily wszystko to, co jej zdaniem dziecko mieć powinno, zaniedbała coś bardzo ważnego. Nie stworzyła Emily warunków to swobodnego istnienia i bycia sobą.

- Mamo, po co oglądałaś te wystawy? Nie wiedziałaś, co chcesz kupić? - dopytywała się Emily.

- Chciałam sobie popatrzeć na różne ładne rzeczy.

- Ale po co?

- Chodź - powiedziała, tknięta nagłym impulsem. Pamiętała, że musi kupić coś do jedzenia, zdążyć do banku i uprać rzeczy z całego tygodnia, ale postanowiła odłożyć to na bliżej nieokreślone „potem”. - Pokażę ci, na czym polega zabawa w oglądanie wystaw - rzekła z uśmiechem do córki.

- Przecież mam na sobie strój baletowy!

- I co z tego?

Dziewczynka spojrzała na nią z niedowierzaniem.

Nie rozumiała, dlaczego mama nie mówi, że najpierw trzeba wrócić do domu, by się przebrać. Albo nie wyjmuje z torby złożonych w równą kosteczkę rzeczy na zmianę.

- Właśnie. I co z tego? - powtórzyła rezolutnie i wzięła Madison za rękę.

- To nie było prawdziwe oglądanie wystaw - stwierdziła dwie godziny później, gdy po zakupach siedziały w tej samej kawiarni, w której Madison spotkała się rano z Guyem. - Przecież kupiłyśmy mnóstwo rzeczy.

- Zasłużyłyśmy na to - odparła Madison, z przyjemnością popijając cappuccino.

- Bardzo mi się podobają skrzydła wróżki, które mi kupiłaś. Będę mogła je dzisiaj założyć?

- Pewnie! - odparła bez zastanowienia. - A ja włożę moje nowe buty!

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Znasz sudański? - Madison dla przyzwoitości zapukała do drzwi gabinetu, lecz weszła, nie czekając, aż Guy ją zaprosi.

- Słabo. Dlaczego pytasz?

- Na porodowym mają emigrantkę z Sudanu. Jest w Australii od niedawna i nie mówi słowa po angielsku. Jej mąż też nie. Z dokumentacji medycznej wynika, że w ogóle nie jest w ciąży, ale...

- Który to tydzień? - Guy od razu przeszedł do sedna.

- Dokładnie nie wiemy, ale ciąża na pewno jest donoszona. Lekarze nie mogą się z tą kobietą dogadać, a czas nagli. Chcą jak najszybciej zabrać ją na blok operacyjny, bo ma bliźnięta po cesarskim cięciu, więc niewykluczone, że trzeba będzie znów ją operować.

- Dobrze, już idę.

- Pamiętasz, że za godzinę zaczyna się zebranie w sprawie budżetu?

- Nie. Ale powiem tej pani, żeby się pospieszyła z rodzeniem - rzucił, łagodząc sarkazm uśmiechem. - Nienawidzę tych zebrań.

- Chyba nie bardziej niż ja - odparła, wznosząc oczy ku niebu. Naprawdę nie znosiła takiego marnowania cennego czasu, bo tym właśnie było niekończące się omawianie tego, co raz już zostało ustalone.

- Guy? - zawołała. - Mogę pójść z tobą i popatrzeć?

- Oczywiście. - Zawahał się. - Pod warunkiem, że koledzy z porodówki nie będą mieli nic przeciwko temu.

Na szczęście nie mieli, dzięki czemu Madison miała okazję uczestniczyć w najpiękniejszej akcji narodzin, jaki w życiu widziała. Kiedy dotarli na oddział, Juka, bo tak miała na imię młoda Sudanka, była już w stadium zaawansowanego porodu. Okazało się, że w ogóle nie pozwala się zbadać i odmawia przyjmowania jakichkolwiek leków. Położna zdołała tylko zmierzyć jej temperaturę i ciśnienie. Guy zamienił parę słów z mężem rodzącej i powtórzył kolegom, co od niego usłyszał:

- Po cesarskim cięciu jego żona już dwa razy rodziła siłami natury. Zabieg był potrzebny tylko dlatego, że nastąpił zgon płodu w macicy, a miejscowi lekarze nie potrafili wywołać porodu. Kobieta wspomina tę cesarkę jak najgorszy koszmar. Znieczulenie nie zadziało jak trzeba, po operacji miała ostrą infekcję. Dlatego teraz nie życzy sobie żadnej interwencji medycznej i prosi, żebyśmy zostawili ją w spokoju.

- Trzeba uszanować jej wolę - stwierdziła Moira, położna, patrząc ze zrozumieniem na kobietę, która nie chciała leżeć, tylko cały czas stała oparta o umywalkę.

- Moim zdaniem powinniśmy zabrać ją do sali porodowej - upierał się jeden z lekarzy, który nie wyobrażał sobie porodu bez asysty lekarskiej i nowoczesnego sprzętu.

- Nie, doktorze. To nie jest dobry pomysł - sprzeciwiła się położna. - Przecież widzi pan, że nie dzieje się nic niepokojącego. Niech pan więc nie przeszkadza, albo wyjdzie i zajmie się czymś innym.

Wszyscy zastosowali się do tej rady i stojąc z boku, obserwowali, jak Juka zupełnie sama rodzi swoje dziecko. Gdy nadeszły bóle parte, uklękła i wsparła się na łokciach. Była bardzo skoncentrowana. Nie krzyczała, nie rzucała się. Poród odbywał się w niemal zupełnej ciszy. Juka wydała tylko kilka głębokich westchnień, a potem własnoręcznie przyjęła rodzące się dziecko na świat.

- To było niesamowite! - Madison wciąż przeżywała poród, gdy razem z Guyem szli do jej gabinetu.

- Lubisz pracę pielęgniarki, prawda?

- Uwielbiam!

- Więc dlaczego siedzisz w biurze, zamiast pracować na oddziale?

- Dla pieniędzy. I stałych godzin pracy - przyznała uczciwie. - Chociaż gdybym brała dyżury, finansowo wyszłoby na jedno.

- A więc rzuć to w diabły - poradził bez zastanowienia. - Alanna chętnie zostanie koordynatorką zespołu, a ty wrócisz na jej miejsce.

- Gdy o tym mówisz, wszystko wydaje się takie proste - stwierdziła, gdy zatrzymali się przy automacie z kawą.

- Bo to jest proste. Przecież większość pielęgniarek z naszego oddziału ma dzieci. I wszystkie jakoś godzą pracę i posiadanie rodziny.

- Nie zapominaj, że one nie wychowują dzieci samotnie. Mają partnerów - przypomniała.

- Ty też możesz mieć. Jeśli tylko zechcesz. Madison dziękowała własnej przezorności, która kazała jej owinąć plastikowy kubek serwetką. Gdyby nie to, poparzyłaby sobie palce gorącą kawą, która nagle chlupnęła jej z kubka.

- Jeszcze za wcześnie, żeby o tym rozmawiać - zauważyła, siłąc się na spokój.

- Tak myślisz? - Spojrzał jej prosto w oczy. - Madison, ja naprawdę wiem, czego chcę od życia. Wiem, że chcę być z tobą, i to się nigdy nie zmieni.

- Mam dla państwa wspaniałą wiadomość. - Terrence Hall, dyrektor generalny szpitala, popatrzył znacząco na siedzących przy stole uczestników zebrania.

Słyszając jego energiczny głos, Madison podjęła kolejną desperacką próbę skupienia się na tym, o czym mowa. Miała jednak spory kłopot z koncentracją, gdyż rozpraszało ją sąsiedztwo Guya, który na początku drugiej godziny zebrania był już wyraźnie znudzony i z nieobecną miną bazgrał coś na kartce papieru.

Tymczasem Madison rozsadzała wewnętrzną radość. Do znudzenia powtarzała w myślach jego uczuciową deklarację. Powiedział jej wprost, że chce stać się częścią jej życia. Dał do zrozumienia, że nie lęka się obowiązków wynikających z partnerstwa i że nie ma oporów, by zaprzyjaźnić się z Emily. Tak więc niemal z dnia na dzień nieprawdopodobne stało się możliwe. A pytanie, „czy” w ogóle przedstawiać go Emily jako kogoś ważnego, Madison zastąpiła pytaniem, „kiedy” to zrobić.

- Jak państwo zapewne wiedzą - mówił tymczasem dyrektor - wszyscy zastanawiamy się, jak uhonorować doktora Gerarda Daltona, współtwórcę i organizatora tego oddziału. Madison zaproponowała, żeby nazwać jego imieniem oddział reanimacyjny.

- Rzeczywiście, wysunęłam taką sugestię - przyznała, z trudem przestawiając tok myślenia ze spraw prywatnych na zawodowe.

- Chciałbym za tydzień spotkać się z państwem w tej sprawie - uprzedził dyrektor - teraz zaś pragnę przekazać państwu inną ważną informację. Otóż na początku tygodnia odwiedziła mnie pani Yvonne Dalton wraz z reprezentującym ją prawnikiem...

Madison spostrzegła kątem oka, że gdy padło nazwisko profesorowej, Guy zaczął uważnie słuchać.

- Okazuje się, że profesor Dalton w swej ostatniej woli przekazał szpitalowi pewne środki, z których zostanie ufundowane stypendium jego imienia. O tym, kto je otrzyma, ma zdecydować pani Dalton. Podczas naszej rozmowy pani Dalton wysunęła bardzo ciekawą propozycję. Wszyscy wiemy, iż profesor był wielkim orędownikiem medycyny globalnej, docierającej z pomocą do najodleglejszych zakątków świata. Dlatego jego żona zaproponowała, żebyśmy do oferty pracy dla stażystów dołączyli informację, że kandydat, który zdecyduje się na pracę w naszym szpitalu, może liczyć na sześciomiesięczne stypendium, w ramach którego wyjedzie do krajów rozwijających się na praktykę.

W tej chwili pani Dalton zastanawia się nad wyborem ośrodka, który jako pierwszy otrzymałby z naszej strony takie fachowe wsparcie. Z kolei nasza korzyść ma polegać na tym, że dzięki atrakcyjnemu stypendium będziemy przyciągali najzdolniejszych młodych lekarzy. Zresztą, jak dobrze państwo wiedzą, w dzisiejszych czasach sztuką nie jest przyciągnięcie, lecz zatrzymanie na dłużej tych najlepszych.

- To rzeczywiście doskonały pomysł! - Madison nie kryła entuzjazmu. Gdyby udało się zrealizować to ambitne przedsięwzięcie, szpital Heatherton miałby szansę dołączyć do najlepszych placówek w kraju. Tym samym spełniłoby się jedno z największych marzeń profesora.

- Dobrze, na koniec została nam sprawa obsady stanowiska ordynatora oddziału ratownictwa medycznego - podsumował dyrektor. - Od dziś oficjalnie szukamy kandydatów. W tym miejscu chciałbym zaznaczyć, że nie mamy żadnych zastrzeżeń do pracy doktora Guya Boyda, pełniącego czasowo obowiązki ordynatora. Jednak prawo wymaga, abyśmy przeprowadzili zewnętrzny nabór i postępowali zgodnie z procedurą dotyczącą rekrutacji. W myśl przepisów doktor Boyd musi oficjalnie złożyć swoje podanie wraz z kompletem wymaganych dokumentów... - zaznaczył dyrektor, jednak z jego dalszej wypowiedzi wynikało, że w przypadku Guya rozmowa kwalifikacyjna będzie czystą formalnością. - Podkreślam, że członkowie zarządu wysoko oceniają zarówno umiejętności, jak i dotychczasowe osiągnięcia doktora - podkreślił.

I choć nie powiedział tego wprost, wszyscy i tak rozumieli, że jeśli Guy tylko zechce, praca będzie jego-

Kiedy wychodzili z sali konferencyjnej, Madison celowo trzymała się od niego z daleka. Nie chciała, by ich świeży związek stał się tajemnicą poliszynela. Idąc przez poczekalnię, zauważyła Yvonne Dalton, i to wystarczyło, by jej własne problemy, te poważne i te wyimaginowane, od razu zbladły. Przez ostatnie tygodnie wdowa po profesorze bardzo schudła. Jej oczy i włosy straciły blask, ramiona się pochyliły. Już na pierwszy rzut oka widać było, że bez ukochanego męża czuje się samotna i zagubiona.

- Dzień dobry pani, Yvonne. - Madison podeszła, by się przywitać. - Jak się pani czuje?

- Jak widać. Powoli wracam do siebie. - Yvonne starała się uśmiechnąć. - Czy na zebraniu dyrektor wspominał o pomysłach ufundowania stypendium?

- Tak, wszyscy byliśmy pod wrażeniem. Uważamy, że to wspaniała idea, prawda, Guy? - zagadnęła go, gdyż właśnie je mijał.

- Tak. Tyle że realizacja tej wizji wymaga ogromnej pracy - zaznaczył trzeźwo.

- Jestem na to przygotowana - odparła Yvonne. - Gerard od lat pracował nad tym projektem. Miał zamiar zająć się nim osobiście, jak tylko szpital zacznie działać. To miało być przedsięwzięcie jego życia. - Gdy to mówiła, w jej oczach błysnęły łzy, lecz nie pozwoliła im popłynąć. - Guy, jeśli można, chciałabym zamienić z tobą słowo - powiedziała oschle.

- Oczywiście - odparł, a Madison wyczuła, że powinna zostawić ich samych.

- Miło było panią spotkać, Yvonne. Wszystkiego dobrego.

- Niedługo się do pani odezwę - obiecała profesorowa. - Mój mąż na pewno chciałby, żeby brała pani udział w pracach nad jego projektem.

- Miło mi to słyszeć. Wobec tego czekam na telefon.

Po raz pierwszy tak niecierpliwie wyglądała końca pracy. Ilekroć przypomniawszy sobie wcześniejszą rozmowę z Guyem, czuła, jak skacze jej poziom adrenaliny. Teraz, gdy wreszcie podjęła decyzję, myślała tylko o tym, by jak najszybciej z nim porozmawiać, opowiedzieć mu o tym, co czuje. Niestety nawał pracy na oddziale uniemożliwiał prowadzenie prywatnych rozmów, dlatego musiała poczekać z tym do końca dyżuru.

- Jesteś zajęty? - zapytała, stając w drzwiach jego gabinetu. Była już gotowa do wyjścia i miała nadzieję, że będą mogli pójść do domu razem.

- Zajęty to mało powiedziane - mruknął, wskazując leżące na biurku stosy kart i formularzy. - Jestem zarobiony! Nienawidzę tych papierków!

- Ja też. - Próbowała się uśmiechnąć, ale sama czuła, że nie wypadło to przekonująco. Zaniepokoiło ją, że Guy nawet na moment nie przerywa pracy.

- Doskonały pomysł z tym stypendium, prawda? - zagadnęła, szukając neutralnego tematu.

- Owszem, pod warunkiem, że wypali - skwitował, nie odrywając wzroku od papierów.

- Mam nadzieję, że tak. Moim zdaniem to najlepszy sposób uczczenia profesora.

- Możliwe - burknął.

Madison zdumiał jego jawny brak entuzjazmu.

- Pójdę już - powiedziała niepewnie.

Zrobiła krok w stronę korytarza, podświadomie licząc na to, że Guy ją zawoła i wyjaśni, co go gryzie. Pocięła się, że jego zły nastrój nie ma

żadnego związku z jej osobą. Aby poprawić mu humor, postanowiła już teraz powiedzieć mu o swojej decyzji.

- Guy? - Wzięła głęboki oddech. - Myślałam o tym, co mi powiedziałeś. Może zjemy dziś razem kolację, u mnie...

- Dziś nie mogę - odparł, próbując osłodzić odmowę ciepłym uśmiechem. - Muszę uporać się z tymi papierzyskami. Poza tym chcę zostać w pracy trochę dłużej, na wypadek, gdyby koledzy z położnictwa potrzebowali tłumacza.

- Jasne. - Nie przestawała się uśmiechać, ale wiele ją to kosztowało. Przekonywała siebie, że przecież nie stało się nic wielkiego, jednak w głębi duszy czuła się zawiedziona. Przecież gdyby Guy był potrzebny w szpitalu, ktoś by po niego zadzwonił. I odkąd to wypełnianie formularzy jest dla niego tak ważne, że nie może z tym poczekać do następnego dnia?

- Emily nocuje dziś poza domem? - zapytał.

- Nie. - Szybko przełknęła łzy, które zniechęca napłynęły jej do oczu. - Pomyślałam sobie, że zaproszę cię, żebyś... wiesz, po to, żebyś mógł... - plątała się, a on swym milczeniem nie ułatwiał jej zadania. - Chyba nie martwisz się, że zaczęli szukać kandydatów na twoje stanowisko? - zapytała, chwytając się tej hipotezy niczym tonący brzytwy.

Guy wyraźnie się spiął, co znaczyło, że trafiła w czuły punkt.

- Nie przejmuj się tym! - powiedziała niemal wesoło, szczęśliwa, że odkryła przyczynę jego dziwnego zachowania i że ta przyczyna nie ma z nią nic wspólnego. - Przecież rekrutacja to czysta formalność. Przestań się martwić i wpadnij do mnie na kolację.

- To nie jest takie proste, jak myślisz - oznajmił i wreszcie spojrzał jej w oczy.

A ją natychmiast ogarnęło złe przeczucie; wszystkie obawy i lęki, z którymi tak długo walczyła, dopadły ją ze zdwojoną siłą. Modliła się, by Guy powiedział coś, co ją uspokoi, by swymi słowami rozwiał dręczącą niepewność i strach, który ścisnął jej serce. Jednak usłyszała od niego coś, co tylko potwierdziło jej obawy.

- Nie wiem, czy w ogóle będę ubiegał się o to stanowisko. - Nie próbował uciec przed jej spojrzeniem. - Musiałbym podpisać kontrakt na trzy lata.

- To rzeczywiście dużo czasu. - Nie pojmowała, jakim cudem jeszcze się nie rozpląkała. - I poważne zobowiązanie. Co najmniej tak poważne, jak przyjęcie mojego zaproszenia na kolację - dodała. - I jak przyjdzie do mojego domu po to, żebym mogła przedstawić cię mojej córce.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - W jego oczach pojawił się wyraz udręki.

- Więc powiedz, o co ci chodziło, kiedy mówiłeś mi, że wiesz, czego chcesz?

- Sytuacja się zmieniła.

- Bo udało ci się mnie przekonać - stwierdziła z goryczą. - Bo dałam się przeciągnąć na twoją stronę, uwierzyłam ci, przyznałam się do tego, co czuję. I wtedy przyszło opamiętanie. Doszedłeś do wniosku, że jednak nie jestem kobietą, której szukasz. Lubisz zdobywać, a potem tracisz zainteresowanie, zgadłam?

- Jesteś nierozsądna! - zirytował się. - Posada ordynatora to nie zabawa. Muszę dokładnie rozważyć wszystkie za i przeciw, a do poniedziałku zostało niewiele czasu. Muszę wiedzieć, czego chcę.

- Więc jeszcze nie wiesz? - zapytała rozgoryczona. - Po tym, co się między nami wydarzyło, ty nadal nie wiesz, czego chcesz?

- Nie wiem - przyznał otwarcie, a ją te słowa zapiekły jak policzek. - Nie jesteś niczemu winna. To ze mną coś jest nie tak. Może mam to w genach - mówił szybko, próbując osłodzić gorzką pigułkę, którą kazał jej przełknąć.

Madison nie wierzyła, że to, co słyszy, jest prawdą. Nie pojmowała, dlaczego Guy tak łatwo ich skreśla.

- Moja matka jest już po pięćdziesiątce i nadal włóczy się po świecie, szukając odpowiedzi na pytanie, czego tak naprawdę chce od życia. Może jestem do niej bardziej podobny, niż myślałem.

- Może. - Madison miała tak zaciśnięte gardło, że mówienie sprawiało jej trudność. Zmobilizowała całą siłę woli, by się nie rozkleić. - I może miałeś rację, mówiąc, że nie powinniśmy się spieszyć. Rzeczywiście, trzeba być bardzo ostrożnym. Nie ukrywam, że było mi z tobą bardzo dobrze, lecz po namyśle dochodzę do wniosku, że nie jesteś odpowiednim ojcem dla mojej córki.

Zauważyła, że mocno zacisnął zęby.

- Emily potrzebuje stabilizacji, której ty nigdy nie byłbyś w stanie nam zagwarantować. Być może będzie lepiej, jeśli damy sobie spokój i zakończymy tę historię już teraz, zanim niepotrzebnie wciągniemy w to dziecko.

- Być może - potaknął.

O dziwo, to on wyszedł pierwszy z gabinetu, a nie ona. Spokojnie wstał zza biurka, minął ją bez słowa i poszedł na oddział. Zrobił to z niebywałą łatwością, bez żalu zostawiając za sobą wszystko, co razem przeżyli i co

jeszcze mogliby przeżyć. Odszedł z jej życia tak nagle, jak nagle się w nim pojawił, porzucając ją zszokowaną i wewnętrznie okaleczoną.

Śmierć Marka była dla niej ciężkim doświadczeniem, lecz to, co wtedy przeszła, okazało się namiastką prawdziwego cierpienia. Mark zrujnował ją finansowo, zostawił samą z rocznym dzieckiem i mnóstwem niespłaconych długów.

Guy złamał jej serce.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Ależ piękna kuchnia! - Madison z przyjemnością rozejrzała się po przytulnym wnętrzu, które właśnie przeszło generalny remont. - Matthew wykonał kawał dobrej roboty.

- Nie zostało już nic do odnowienia! - roześmiała się Helen. - Mam nowe szafki w łazience i tyle półek, że nie mam co na nich stawiać. Chyba pora powiedzieć o wszystkim Richardowi.

- Tak sędzę. Nie martw się, może przyjmie tę wiadomość o wiele spokojniej, niż myślisz - pocieszyła ją Madison, przypominając sobie rozmowę, którą przed kilkoma tygodniami odbyła z Emily.

- Wiem, że wszystko będzie dobrze, a jednak boję się zrobić decydujący krok.

- Doskonale cię rozumiem. W tych sprawach trzeba być ostrożnym. Ale twój Matthew to naprawdę świetny facet. Od razu widać, że bardzo mu na tobie zależy...

Madison starała się myśleć pozytywnie i zapomnieć o własnych niepowodzeniach. Jednak po upływie dwóch tygodni od pamiętnej rozmowy z Guyem rana w jej sercu była jeszcze zbyt świeża, a emocje tak silne, że Madison co chwila łykała łzy.

Helen od razu spostrzegła, co się z nią dzieje.

- Nie płacz, bez niego będzie ci lepiej niż z nim - powtórzyła chyba setny raz. - Pewnie wcale nie miał zamiaru się ustatkować, dlatego dobrze, że zniknął już teraz, a nie powiedzmy za rok, kiedy Emily zaczęłaby mówić do niego tato.

- Wiem - odparła Madison bez przekonania.

Niestety, ta wiedza nie umniejszała w żadnym stopniu jej cierpienia ani nie uwalniała od dławiącego smutku i uczucia osamotnienia. Najdziwniejsze było to, że choć Guy wyrządził jej wielką krzywdę, czuła, że nigdy o nim nie zapomni. I nie żałowała ani jednej chwili, którą z nim spędziła. Dzięki niemu dowiedziała się, jak piękne może być życie. I nawet jeśli szczęście zjawilo się jak przelotny gość, warto było przeżyć tę chwilę.

- Dobrze, że nie będę go więcej widywać w pracy - pocieszyła się. - Dziś był w szpitalu ostatni raz.

- Czy chociaż się z tobą pożegnał? Pokręciła głową.

- Spotkał się na chwilę ze wszystkimi i podziękował za współpracę. Kiedy wychodziłam do domu, badał pacjenta. Nawet na mnie nie spojrzął.

- Myślałam, że z nim porozmawiasz. Może powinnaś mu powiedzieć, jak bardzo cię zranił? - zasugerowała Helen.

- Przecież on o tym wie!

- Nie byłabym tego taka pewna - zauważyła Helen. - Jeśli chcesz, potrafisz świetnie grać. Może on naprawdę uwierzył w to, co mu powiedziałaś? No wiesz, że nie jest odpowiednim opiekunem dla Emily.

- Nie ma sensu do tego wracać. - Madison sięgnęła do torebki po chusteczkę. - Helen, on po prostu nie chce z nami zostać. Ja i Emily nie jesteśmy na tyle atrakcyjne, żeby zrezygnował dla nas ze swobody.

- Kiedy odlatuje?

- Późno wieczorem - odparła Madison, zerkając na zegarek. Na samą myśl, że Guy jest już w drodze na lotnisko, by wkrótce wsiąść do samolotu i na zawsze zniknąć z jej życia, zrobiło jej się słabo.

- A co z nowym ordynatorem? - zagadnęła Helen. - Macie kogoś?

- Jeszcze nie. Obawiam się, że nie znajdziemy lekarza, który byłby choć trochę podobny do profesora. Albo do Guya, bo przecież to, co się między nami wydarzyło, nie zmienia faktu, że jest świetnym fachowcem.

- Poradzicie sobie. Na pewno znajdzie się ktoś, kto zastąpi doktora Boyda - rzekła Helen z przekonaniem.

Madison wiedziała, że przyjaciółce chodzi nie tylko o oddział ratownictwa.

- Obawiam się, że nie. Jeśli masz na myśli innego mężczyznę, to oświadczam, że dla mnie jest to temat zamknięty. Przynajmniej na razie - oświadczyła, łagodząc uśmiechem ostry wydźwięk swoich słów. - Guy pokazał mi, że życie to nie tylko praca i obowiązki. Dlatego teraz postanowiłam zatroszczyć się o siebie. Ale nie myśl, że będę zaniedbywała Emily...

- Przestań! - obruszyła się Helen. - Przecież doskonale wiem, o co chodzi. Teraz, kiedy Richard poszedł do szkoły, chcę znowu żyć jak dawniej. A ponieważ nie wyobrażam sobie życia bez pracy, postanowiłam wrócić na cały etat.

- A ja zrezygnować z posady kierowniczkii. Chcę znów pracować z chorymi - oznajmiła Madison.

- Słuchaj, to się doskonale składa! Nadal będziemy mogły sobie pomagać w opiece nad dziećmi. Trzeba będzie tylko ustalić nowy grafik - zarządziła Helen.

- Jasne! - Madison poczuła, że świat wokół jakby pojaśniał. Była pewna, że da sobie radę. - Posłuchaj - dodała, uśmiechając się do przyjaciółki

porozumiewawczo - co ty na to, żebyśmy raz na jakiś czas zatrudniły fajną opiekunkę i wyskoczyły gdzieś razem wieczorem? Na przykład w przyszłym tygodniu? Po-szłybyśmy sobie na drinka...

- I do kina! Na film dla dorosłych! - Helen jak zawsze miała własne pomysły.

- No to jesteście umówione! - Madison wstała, i wygładziwszy spódnicę, poprawiła makijaż. - Jadę do Yvonne. Prosiła, żebym pomogła jej wybrać ośrodek, któremu udzielimy wsparcia w ramach stypendium ufundowanego przez profesora. Myślę, że to nie potrwa długo.

- Nie spiesz się! - Helen położyła rękę na jej ramieniu. - Jeśli chcesz, Emily może u mnie nocować. A ty po spotkaniu jedź do domu, weź kąpiel i napij się wina - poradziła. - I popłacz sobie. Zobaczysz, od razu poczujesz się lepiej.

Yvonne Dalton do perfekcji opanowała rolę wzorowej pani domu. Jak zawsze czarująca i uśmiechnięta, zaprosiła Madison do salonu i zaproponowała jej coś do picia. Nie zapomniała zapytać o Emily i pracę, i dopiero potem przeszła do sedna sprawy.

- Zwróciłam się do organizacji humanitarnych z prośbą o wytypowanie palcówek, które potrzebują wsparcia - oznajmiła i wyjąwszy z teczki dwa listy, podała je Madison. - Oto co wybrałam. Pierwsze miejsce to sierociniec dla dzieci, których rodzice zmarli na AIDS, a one same są nosicielami wirusa HIV. Stała opieka doświadczonego lekarza z pewnością uratuje życie wielu z nich. Drugie miejsce to mały szpitalik polowy. W tej chwili lekarz przyjeżdża tam raz na pół roku i przyjmuje chorych przez dwa, góra trzy dni.

Madison z uwagą obejrzała zdjęcia dołączone do listów. Wszystkie były bardzo poruszające; przedstawiały małe dzieci ufnie patrzące prosto w obiektyw, chorych ludzi leżących na posłaniach lub zniszczonych łóżkach, kobiety w ciąży czekające w kolejce do lekarza, pielęgniarki i lekarzy pracujących w nieludzkich warunkach.

- Myślę, że obydwie miejsca bardzo potrzebują fachowego wsparcia - odparła.

- Problem w tym, że możemy udzielić go tylko jednemu z nich - odparła Yvonne. - Nie śpię po nocach, rozmyślając o tym, które z nich wybrałby mój mąż. I nadal nie wiem, co zrobić. Mam nadzieję, że pomoże mi pani dokonać wyboru.

- Ja? - Madison nie kryła zdumienia.

- Wiem, że Gerard włączyłby panią w prace nad tym projektem.

- Mój Boże, to strasznie trudny wybór - szepnęła bezradnie. - Ja naprawdę nie wiem...

- Niech się pani zastanowi - poprosiła Yvonne. - Chciałabym poznać pani opinię.

- Dobrze. Proszę dać mi pięć minut. - Jeszcze raz uważnie przeczytała listy, obejrzała zdjęcia. - Jest pani pewna, że nie możemy pomóc i sierocińcowi, i szpitalowi?

- Nie. Jeśli zaczniemy dzielić środki, tak naprawdę nikt na tym nie skorzysta - wyjaśniła Yvonne.

- W takim razie wybrałabym szpital - odparła, lecz natychmiast dopadły ją wyrzuty sumienia, że odbiera chorym dzieciom szansę na lepsze życie.

- A czym uzasadnia pani ten wybór? - zapytała Yvonne.

- Tym, że w ten sposób dotrzemy z pomocą do większej liczby potrzebujących. Jeśli wyślemy tam lekarza, uratujemy życie setkom, może nawet tysiącom osób. Poza tym tu, na miejscu, znajdziemy więcej chętnych do pracy w szpitalu niż w sierocińcu.

- Zgadza się z panią - przyznała Yvonne.

- Próbuję wyobrazić sobie, jak w tej sytuacji postąpiłby pan profesor - dodała Madison w zamyśleniu.

- Coś pani pokażę. - Yvonne wstała i sięgnęła po album ze zdjęciami. - Mój mąż bardzo kochał dzieci, ale myślę, że w tym przypadku on również wybrałby szpital - mówiła, przewracając kartki. - Był wspaniałym lekarzem. Takim z powołania, całkowicie zaangażowanym w to, co robi. Proszę, niech pani popatrzy. - Nie kryjąc wzruszenia, usiadła obok Madison i razem zaczęły przeglądać zdjęcia.

Większość została zrobiona podczas wyjazdów na misje. Na niemal wszystkich widać było profesora, znacznie młodszego i zawsze uśmiechniętego, pozującego z pacjentami, pielęgniarkami, małymi dziećmi.

- Guy Boyd też jest takim lekarzem - powiedziała Madison, nie zastanawiając się nad tym, co mówi.

- Guy Boyd? - Yvonne spojrzała na nią z wyrzutem. - Czyba nie mówi pani tego poważnie? Wypraszam sobie takie porównania - dodała ostro, wprawiając Madison w osłupienie. - Szpital Heatherton niewątpliwie skorzysta na tym, że doktor Boyd przestanie w nim pracować. Znam tego pana od lata i muszę powiedzieć, że nie mam o nim najlepszego zdania. To niespokojny duch, wiecznie w ruchu. Jest taki sam jak jego... - Yvonne urwała w pół słowa i mocno zacisnęła usta.

Oszołomiona Madison przewróciła kolejną kartkę albumu i nagle zrozumiała, skąd w Yvonne tyle niechęci.

Z fotografii uśmiechała się do niej młoda twarz profesora. Przyjrzała mu się uważnie, zwłaszcza jego brązowym oczom i jasnym włosom, i już wiedziała, u kogo widziała podobne rysy. Rozpoznałaby je choćby na końcu świata, bo na zawsze wryły się w jej pamięć. I serce.

Twarczą, którą tak doskonale pamiętała, nie należała do profesora, choć była do niego łudzaco podobna. Madison miała nieodparte wrażenie, że ze zdjęcia uśmiecha się do niej Guy Boyd.

Wszystkie fragmenty układanki połączyły się w logiczną całość. Fakt, że Guy wydał jej się dziwnie znajomy, choć widziała go pierwszy raz w życiu. Czulość, z jaką mówił o nim profesor. Niechęć ze strony Yvonne i jej lęk, że profesor, umierając, wyznał Madison prawdę.

Guy jest jego synem!

- Przepraszam, ale muszę już iść! - Poderwała się nieco zbyt energicznie, ale nie miała chwili do stracenia.

- Tak szybko? - zdziwiła się Yvonne. - Myślałam, że sobie porozmawiamy...

- Chętnie, tyle że dziś muszę już wracać. Moja koleżanka, która opiekuje się Emily, ma pilną sprawę do załatwienia.

- Wobec tego proszę niedługo do mnie zajrzeć. Jest pani zawsze mile widziana w naszym domu - mówiła Yvonne, odprowadzając ją do drzwi.

Madison pospiesznie wsiadała do samochodu, który od pewnego czasu nie wyglądał już tak schludnie, jakby nikt z niego nie korzystał, i ruszyła w drogę powrotną. Jednak na światłach, zamiast w lewo, skrzyła w prawo i pojechała do szpitala. Tym razem ominęła parking dla personelu i skierowała się ku kompleksowi budynków, w których mieściły się służbowe mieszkania lekarzy.

Zaparkowała krzywo przy chodniku i próbując nie zastanawiać się nad sensem tego, co robi, wbiegła na piętro. Nie miała pojęcia, co właściwie chce powiedzieć Guyowi; po prostu czuła, że musi go zobaczyć.

- Spóźniła się pani. Doktor wyszedł dwie godziny temu - powiedział sąsiad Guya, wywabiony z mieszkania hałasem, jakiego narobiła, dobijając się do drzwi.

- Pojechał na lotnisko?

- Zdaje się, że tak.

Pobiegła do samochodu, gorączkowo licząc minuty, które jej jeszcze zostały. Dojazd nie powinien jej zająć więcej niż pół godziny, tyle że akurat dziś wszystko obracało się przeciwko niej. Zatrzymywała się na wszystkich czerwonych światłach, omijała roboty drogowe, nie mogła znaleźć właściwego terminalu, a potem długo szukała miejsca do parkowania, bo ochrona nie pozwoliła jej zostawić samochodu przed wejściem do budynku.

Kiedy wreszcie wpadła do hali odlotów, z trudem łapała oddech. Rozejrzała się zdezorientowana, a potem bezradnie gapiła się na tablicę świetlną informującą o odlotach. Nagle dotarło do niej, że nawet nie wie, dokąd Guy leci. Wpatrywała się w nazwy różnych miast i małe, obracające się literki, które co chwila układały się w napis: „wystartował”, i powoli docierało do niej, że straciła Guya na zawsze.

- Chyba się spóźniłem!

Podskoczyła, słysząc za plecami dobrze znany niski głos. Obróciła się gwałtownie i nawet nie próbowała udawać, że wcale nie płacze.

Guy stał dwa kroki od niej. Położył plecak na podłodze, ale w ręce wciąż trzymał bilet i kartę pokładową. Madison nie mogła oderwać od niego oczu. Przepelniała ją głęboka wdzięczność wobec losu.

Była wdzięczna za to, że z jakiegoś powodu Guy jeszcze tu jest i może się z nim pożegnać. I wreszcie przyznać się, że bez względu na wszystko bardzo go kocha, nawet jeśli ta miłość nie ma najmniejszych szans.

- Guy! - Nie poznała własnego głosu, tak bardzo był zmieniony.

- Nie mogłem! - On też nie mówił zbyt pewnie. - Nie mogłem wyjechać bez pożegnania. Ja wiem, że nie możemy być razem, ale nie mogłem tak po prostu zniknąć.

- Wiem. - Wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

- Bardzo chciałbym wytłumaczyć ci, dlaczego muszę wyjechać, ale nie mogę tego zrobić. Proszę, spróbuj mnie zrozumieć. Obiecałem, że nikt się nie dowie. Obiecałem to Gerardowi i jego żonie.

- Nie musisz łamać słowa, które im dałeś - powiedziała, podchodząc do niego. - Ja już wszystko wiem, Guy. Profesor był twoim ojcem, prawda?

Skinął głową. Z głośników popłynął kolejny komunikat, powodując, że oboje drgnęli.

- Może wyjdziemy na zewnątrz - zaproponował Guy, wskazując obrotowe drzwi.

- Naprawdę spóźniłeś się na samolot?

- Chyba tak. - Wzruszył ramionami. - Nic się nie stało, polecę jutro.

Madison zignorowała bolesne ukłucie rozczarowania. I tak powinna się cieszyć, że może się z nim pożegnać. Zaczekała, aż Guy weźmie bagaż, po czym wyszli na dwór.

- Kiedy się dowiedziałeś?

- Dwa lata temu. - Odetchnął głęboko. - Matka początkowo twierdziła, że nie wie, kto jest moim ojcem. Dopiero niedawno przyznała się, że jako stażystka pracowała za granicą. Tam poznała Gerarda. A ja jestem owocem ich romansu.

- Profesor wiedział, że ma syna?

- Nie. On też dowiedział się o tym niedawno.

Bardzo chciał, żebyśmy nadrobili stracony czas. Niestety, Yvonne nie chciała o tym słyszeć. Czuli się zagrożona i oszukana, choć w czasach, gdy Gerard miał romans z moją matką, nawet go jeszcze nie znała.

- Teraz rozumiem, dlaczego profesor tak bardzo się cieszył, że będziecie razem pracowali.

- Najpierw musiał przekonać Yvonne, że z tego powodu nikomu nie stanie się żadna krzywda, jeśli on i ja poznamy się lepiej - wyznał. - W końcu zgodziła się, żebym został waszym konsultantem, ale tylko na sześć miesięcy.

- Jak to?

- Po prostu. Nie życzy sobie, żebym tu był.

- Przecież ona nie ma prawa zmuszać cię do wyjazdu. - Madison nie posiadała się z oburzenia.

- To nie takie proste, jak myślisz - odparł przygnębiony. - Pamiętasz, jak poprosiła mnie o chwilę rozmowy po zebraniu?

- Tak. Czy coś się wtedy wydarzyło?

- Owszem. Yvonne zagroziła, że jeśli nie wyjadę, nie da ani centa na stypendium.

- Czy ona postradała zmysły?! - Madison miała wrażenie, że śni jakiś koszmarny sen.

- Nie wiem, może. W każdym razie obiecałem jej, że zrezygnuję z ubiegania się o posadę ordynatora. Nie chciałem, żeby z mojego powodu upadł projekt, któremu mój ojciec poświęcił całe życie.

- Przecież nie możesz tak łatwo się poddać, musisz walczyć. Ta kobieta nie ma prawa wymagać, żebyś zrezygnował z pracy, z budowania, swojej kariery.

- Urwała, nagle niepewna, czy powinna powiedzieć to, co leży jej na sercu.
- Ze mnie... - dokończyła cicho.

- Przecież ty nie chcesz ze mną być - przypomniał, patrząc jej prosto w oczy. - Może zresztą masz rację. Może faktycznie nigdzie nie zagrzeję dłużej miejsca. Widocznie mam to w genach. Spójrz na moją matkę...

- Ty lepiej spójrz na swojego ojca - przerwała mu. - Masz połowę jego genów, a on nigdy nie poddałby się bez walki - oznajmiła z naciskiem. - To nieprawda, że nie chcę z tobą być. Jak myślisz, po co tu przyjechałam?

- Żeby się pożegnać? Niecierpliwie otarła łzę z policzka.

- Błagać cię, żebyś został. Kiedy powiedziałam, że nie jesteś odpowiednim opiekunem dla Emily, próbowałam się w ten sposób bronić. Guy, jestem pewna, że będziesz wspaniałym ojcem... - Zakryła dłonią usta, przerażona własną odwagą.

- Mam to potraktować jak oświadczyzny? - Pierwszy raz od bardzo dawna zobaczyła jego uśmiech.

- Jeśli chcesz...

- A ty?

- Ja przede wszystkim chcę, żebyś powiedział Yvonne, że nie pozwolisz się szantażować. Powiedz jej, że nigdzie się stąd nie ruszysz!

- Nie mogę! - jęknął. - Madison, przecież nie musimy tu mieszkać, możemy przeprowadzić się do innego miasta. Ja naprawdę nie chcę, żeby z mojego powodu nie spełniło się marzenie mojego ojca.

- Ale ja nie chcę stąd wyjeżdżać - oświadczyła.

- Mam tu pracę, którą kocham i dom, o który tak długo walczyłam. Nie zrezygnuję z tego z powodu kaprysu Yvonne.

- Rozumiem. - Zrezygnowany sięgnął po plecak.

- Nic nie rozumiesz! - zawołała. - Jeśli będziemy razem, niewykluczone, że kiedyś się stąd wyprowadzimy. Ale na pewno nie dlatego, że ktoś ma takie widzimisię.

- Ty nic nie rozumiesz! - On też krzyczał. - Jeśli jej ustąpię, będzie można uratować życie tysiąca ludzi.

- A myślałeś o tym, jak w tej sytuacji zachowałby się twój ojciec? - zapytała, świadoma, że dotyka niezwykle delikatnych spraw. - Uważasz, że dałby się zaszantażować? Nie zapominaj, że jesteś jego synem. I zawsze nim będziesz, bez względu na to, co myśli o tym Yvonne.

Guy milczał.

- Musisz z nią porozmawiać - przekonywała. - Jeśli chcesz, pójdziemy do niej razem. Powiemy jej, że jeśli nie ufunduje stypendium, zniszczy największe marzenie człowieka, którego przecież bardzo kochała.

- Dobrze, a co będzie potem?

- Potem? Potem pojedziemy do domu. - Ani przez chwilę nie zastanawiała się nad odpowiedzią. Miała pewność, że stoi przed nią mężczyzna, któremu może zaufać.

A właściwie, którego może pokochać.

- Pojedziemy do domu - ciągnęła po chwili - i porozmawiamy z moją córką. Najpierw muszę trochę ją przygotować, bo przecież nie mogę, tak po prostu wejść do jej pokoju i powiedzieć: kochanie, to jest mężczyzna...

- Z którym zamierzam spędzić resztę życia - dokończył za nią. Z jego twarzy zniknął wreszcie wyraz niepewności i napięcia.

- Właśnie!

RS

EPILOG

- Masz mdłości? To po tych tabletkach.

Guy wszedł do łazienki, choć Madison wolałaby, by zostawił ją samą. Po sześciu miesiącach bycia razem wciąż pragnęła być dla niego nieco tajemnicza - czego absolutnie nie dało się osiągnąć, klęcząc przy muszli klozetowej.

- Już wychodzę. - Skrzywiła się i opłukawszy twarz wodą, zerknęła na tabletki przeciw malarii leżące przy umywalce. - Już mi lepiej - westchnęła, kładąc się na łóżku obok Guya, który przyjrzał jej się z niepokojem. - Zrobiło mi się trochę niedobrze.

- Nie martw się, wkrótce przejdzie - zapewnił.

- Niestety, nie można nie brać tych leków. Moim zdaniem lepsze one niż malaria. Musisz pamiętać, żeby brać je jeszcze miesiąc po powrocie do domu - dodał.

Madison zauważyła, że mówiąc to, rozejrzał się po sypialni. Po ich wspólnej sypialni, będącej częścią ich wspólnego domu. Domu, o który tak ciężko walczyła. I który, odkąd zamieszkał w nim Guy, stał się wreszcie domem prawdziwym.

Zauważyła, że Guy przygląda się wypchanym plecacom i innym bagażom leżącym na podłodze. Minę miał nietęgą, z czego wywnioskowała, że bodaj po raz pierwszy w życiu żałuje, iż musi wyjeżdżać.

Niestety, podróż była nieunikniona. Marzenie Gerarda zaczęło nabierać realnych kształtów. W związku z tym Madison i Guy mieli wsiąść następnego dnia do samolotu i udać się z dwutygodniową wizytą do ośrodka doraźnej pomocy medycznej, który niebawem miał zostać przekształcony w szpital z prawdziwego zdarzenia. Jadąc, zabierali ze sobą pierwszą partię leków i sprzętu.

- A jak Emily? - zapytał Guy, przerywając milczenie. - Kiedy wczoraj rozmawialiśmy o wyjeździe, miałem wrażenie, że za chwilę się rozplacze. Może jednak z nią zostaniesz? Na pewno pojedziemy tam jeszcze nieraz.

- Emily da sobie radę - zapewniła go. - Już się cieszy, że spędzi dwa tygodnie u dziadków, którzy będą ją nieprzytomnie rozpieszczą. Poza tym obiecałam jej, że następnym razem ją zabierzemy. Chciałabym, żeby zobaczyła na własne oczy, jak wiele osiągnęliśmy.

- My wszyscy osiągnęliśmy - sprostował. - Niesamowite, jak wiele osób zaangażowało się w ten projekt. Yvonne mówiła mi, że razem z paniami z

kościółka urządza piknik przy głównej ulicy. Żałuję, że nie zobaczę jej, jak ubrana w fartuch smaży kielbaski. Zupełnie nie umiem jej sobie wyobrazić w takiej roli.

- A ja wręcz przeciwnie - odparła. - Yvonne ostatnio bardzo się zmieniła.

- Prawda? Aż trudno uwierzyć, że to ta sama osoba - przyznał. - Muszę ci powiedzieć, że nawet nie mam do niej żalu o te wszystkie miesiące, w czasie których udawała, że nie istnieje. Ona się po prostu bała, że jeśli ludzie dowiedzą się o romansie Gerarda Jej bezpieczny świat runie. Nie chciała stać się bohaterką plotek.

- A jednak się stała. Tyle że mówią o niej same dobre rzeczy - zauważyła Madison. - To niesamowite, jak bardzo się stara być dla ciebie kimś w rodzaju matki. Myślę, że jest z ciebie dumna. Profesor też by był.

- Bez ciebie niewiele bym zwojował - zauważył, po czym wstał i zaczął zwijać swój zniszczony śpiwór, by położyć go obok porażającego czerwienia, nowiutkiego śpiwora Madison. - Na miejscu zsuniemy je razem.

- Czy mi się zdaje, czy kiedyś mówiłeś, że na takich wyjazdach człowiek jest tak zmordowany, że wieczorem nie ma na nic ochoty?

- Tak było, zanim cię poznałem - roześmiał się. Widząc jednak, że ona się nie śmieje, spoważniał.

- Powiedz mi, co cię gryzie?

- Nic - odparła, lecz wiedziała, że go nie oszuka.

- Przyznaj się, nie chcesz zostawić Emily?

- Nie, to nie to. Obawiam się, że nie będę mogła z tobą jechać - wyznała, bawiąc się obrączką, którą kilka tygodni wcześniej z dumą wsunął jej na palec.

- Od jakiegoś czasu słabo się czuję.

- Mówiłem ci, że to przez te tabletki. Nie przejmuj się, przykre objawy niedługo ustąpią.

- To nie tabletki - szepnęła - bo ich nie biorę.

- Nie bierzesz ich?! Ale dlaczego?

Czuła, że Guy przeszywają wzrokiem, ale nie miała odwagi na niego spojrzeć.

- Nie byłam pewna, czy przypadkiem nie są teratogeniczne...

- Teratogeniczne... - powtórzył ochryple.

- Tak. Czy nie powodują wad rozwojowych płodu. I dlatego...

- Wiem, co to słowo znaczy - przerwał jej - tylko o dziecku nic nie wiem. A ty kiedy się dowiedziałaś?

- Pół godziny temu - odparła. - Od jakiegoś czasu kiepsko się czułam, poza tym spóźnia mi się okres, dlatego uznałam, że zanim wezmę jakieś lekarstwo, lepiej sprawdzę, czy nie jestem w ciąży. - Sięgnęła do szuflady nocnej szafki i wyjęła test ciążowy. - Proszę. Wiem, że to nie jest odpowiedni czas na dziecko. Nie planowałam tego, ale...

- No wiesz, przecież wywaliłaś tę trenerkę! - Z uśmiechem spojrzął na kawałek plastiku. - I przestałaś planować, nie pamiętasz?

- Wiem, ale co z tego...

- Jak to co? Będziemy mieli dziecko! - szepnął, tuląc ją do siebie. Powtarzał te słowa dotąd, aż ona też w nie uwierzyła. W obliczu szczęścia, które ich spotkało, wykupione bilety na samolot i zrujnowane plany nie miały najmniejszego znaczenia.

- Szkoda, że profesor tego nie doczekał - szepnęła jakiś czas później, gdy odpoczywali zmęczeni miłością.

- Na pewno o tym wie - odparł Guy. - Chyba odgadłem, dlaczego tak bardzo cię polubił. Pewnie przeczuwał, że pewnego dnia urodzisz mu wnuka.

- Może faktycznie tak było? - Zamyśliła się. - Może podświadomie wyczuwał między nami jakąś duchową więź...

- Duchową więź?! Oho, już czuję, że zaraz zapalisz kadzidełka i oznajmisz, że chcesz rodzić w wodzie

- W wodzie? Wykluczone! - zawołała i stuknąwszy go łokciem w żebra, powiedziała: - Skoro już o tym mowa, to lojalnie uprzedzam, że chcę mieć najlepszą opiekę, najlepsze znieczulenie i wszystko, co może ułatwić poród.

- Co się stało z zasadniczą i rygorystyczną Madison Walsh, którą kiedyś znałem?

- To ty nic nie wiesz? Pewnego dnia los się do niej uśmiechnął. I wreszcie jest szczęśliwa.